



ZEW HONORU

KSIĘGA 4 KRĘGU CZARNOKSIĘŻNIKA

MORGAN RICE

Kręgu Czarnoksiężnika

Morgan Rice

Zew Honoru

«Lukeman Literary Management Ltd»

Rice M.

Zew Honoru / M. Rice — «Lukeman Literary Management Ltd»,
— (Kręgu Czarnoksiężnika)

Zew Honoru (Księga 4 Kręgu Czarnoksiężnika) ukazuje kolejne losy Thora po powrocie z Rytuału Stu Dni. Zahartowany w boju uczy się, co oznacza walczyć o ojczystą ziemię, walczyć na śmierć i życie. Wojska McCloudów zapuszczają się głęboko na terytorium MacGilów – głębiej niż kiedykolwiek w całej historii Kręgu – a Thor wpada w zasadzkę. Teraz od niego zależy, czy zdoła odeprzeć atak i ocalić królewski dwór. Godfrey został otruty przez swego brata bardzo rzadką i silną trucizną. Jego los spoczywa teraz w rękach Gwen, która robi, co może, by nie dopuścić do jego śmierci. Gareth popadł w jeszcze głębszą paranoję i frustrację. Wynajmuje plemię barbarzyńców jako osobistą straż i przekazuje im Srebrną Salę – siedzibę Srebrnej Gwardii. Doprowadza tym do powstania rozłamu na królewskim dworze, co z kolei grozi wybuchem wojny domowej. Knuje również intrygę, w której zmusza Gwendolyn do małżeństwa z wojownikiem należącym do okrutnego plemienia Nevarunów. Przyjaźnie Thora pogłębiają się wraz z tym, jak jego oddziały docierają do nowych miejsc, mierzą się z nieoczekiwanymi potworami i walczą ramię w ramię w niewyobrażalnej bitwie. Thor odwiedza swe rodzinne strony i w epickiej konfrontacji z ojcem odkrywa wielki sekret swojej przeszłości: tego kim jest on, kim jest jego matka – i jakie jest jego przeznaczenie. Dzięki zaawansowanym ćwiczeniom, jakim poddaje go Argon, zaczyna wykorzystywać moce, których istnienia u siebie nie podejrzewał; z każdym dniem staje się coraz potężniejszy. Jego związek z Gwen pogłębia się. Thor wraca na królewski dwór z zamiarem oświadczenia się jej – ale może być na to już za późno. Wykorzystując informatora Andronicus prowadzi milionowa armia Imperium, zamierzając ponownie zaatakować kanion i zniszczyć Krag. I kiedy wydaje się, że już nic gorszego nie może się wydarzyć na królewskim dworze, w opowieści następuje szokujący zwrot akcji. Czy Godfrey przeżyje? Czy Gareth abdykuje? Czy królewski dwór czeka rozłam, czy inwazja Imperium odniesie sukces? Czy Gwendolyn i Thor się w końcu zejdą? I czy Thor pozna swoje przeznaczenie? Dzięki szczegółowo zarysowanej inscenizacji i charakteryzacji, ZEW HONORU staje się epicką opowieścią o przyjaciółach i

kochankach, rywalach i zalotnikach, rycerzach i smokach, intrygach i politycznych machinacjach, o dorastaniu, złamanych sercach, oszustwach, ambicji i zdradzie. Jest to opowieść o honorze i odwadze, ludzkim losie i przeznaczeniu; o magii. To fantazja, która przenosi nas w niezapomniany świat, który przemawia do wszystkich grup wiekowych i płci. Powieść liczy 85. 000 słów. Kipi akcją, romansem, przygodą i suspensem. Sięgnij po nią i zakochaj się na nowo. [vampirebooksite. com](http://vampirebooksite.com) (komentarz dotyczący Turned)

© Rice M.

© Lukeman Literary Management Ltd

Содержание

ROZDZIAŁ PIERWSZY	9
ROZDZIAŁ DRUGI	11
ROZDZIAŁ TRZECI	14
ROZDZIAŁ CZWARTY	16
ROZDZIAŁ PIĄTY	19
ROZDZIAŁ SZÓSTY	20
ROZDZIAŁ SIÓDMY	24
ROZDZIAŁ ÓSMY	28
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY	30
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY	34
ROZDZIAŁ JEDENASTY	37
ROZDZIAŁ DWUNASTY	40
Конец ознакомительного фрагмента.	43

Morgan Rice

Zew Honoru (Księga 4 Kręgu Czarnoksiężnika)

Przekład: Michał Głuszak

O autorce

Morgan Rice plasuje się na samym szczycie listy najpopularniejszych autorów powieści dla młodzieży. Swoją renomę zawdzięcza cyklom opowieści pod tytułem THE VAMPIRE JOURNALS – obejmujący jedenaście ksiąg (kolejne w trakcie pisania); THE SURVIVAL TRILOGY – postapokaliptyczny dreszczowiec obejmujący dwie księgi (kolejna w trakcie pisania); KRAĞ CZARNOKSIEŻNIKA – epickie fantasy, obejmujące trzynaście ksiąg (kolejne w trakcie pisania)

Książki jej autorstwa dostępne są w wersjach audio i drukowanej i zostały przetłumaczone na język niemiecki, francuski, włoski, hiszpański, portugalski, japoński, chiński, szwedzki, holenderski, turecki, węgierski, czeski oraz słowacki (kolejne wersje językowe w trakcie opracowywania).

TURNED (Księga 1 cyklu Vampire Journals) oraz WYPRAWA BOHATERÓW (Księga 1 cyklu Krag Czarnoksiężnika) dostępne są nieodpłatnie w Sklepie Play!

Morgan chętnie czyta wszelkie wiadomości od was. Zachęcamy zatem do kontaktu z nią za pośrednictwem strony www.morganricebooks.com, gdzie będziecie mogli dopisać swój adres do listy emaili, otrzymać bezpłatną wersję książki i darmowe materiały reklamowe, pobrać bezpłatną aplikację, otrzymać najnowsze, niedostępne gdzie indziej wiadomości, połączyć się poprzez Facebook i Twitter i po prostu pozostać w kontakcie!

Wybrane komentarze do książek Morgan Rice

KRAĞ CZARNOKSIEŻNIKA zawiera wszystko, co niezbędne, aby odnieść natychmiastowy sukces: fabułę, konspiracyjny, tajemnicę, dzielnych rycerzy, rozwijające się bujnie związki uczuciowe i złamane serca, podstęp i zdradę. Zapewni rozrywkę na wiele godzin i zadowoli czytelników w każdym wieku. Zalecana jako stała pozycja w bibliotece każdego czytelnika fantasy.

–*Books and Movie Reviews, Roberto Mattos*

Rice robi świetną robotę wciągając czytelnika w swoją opowieść od samego jej początku; wykorzystuje doskonałe jakościowo opisy wykraczające poza zwykłą scenerię.... Ładnie napisane i łatwo się czyta.

–*Black Lagoon Reviews (komentarz dotyczący Turned)*

Idealna opowieść dla młodych czytelników. Morgan Rice zrobiła świetną robotę budując niezwykle ciąg zdarzeń... Orzeźwiająca i niepowtarzalna. Skupia się wokół jednej dziewczyny... jednej niezwyklej dziewczyny! Wydarzenia zmieniają się w wyjątkowo szybkim tempie. Łatwo się czyta. Zalecany nadzór rodzicielski.

–*The Romance Reviews (komentarz dotyczący Turned)*

Zawładnęła moją uwagę od samego początku i do końca to się nie zmieniło... To historia o zadziwiającej przygodzie, wartkiej i pełnej akcji od samego początku. Nie ma tu miejsca na nudę.

–*Paranormal Romance Guild (komentarz dotyczący Turned)*

Kipi akcją, romansem, przygodą i suspensem. Sięgnij po nią i zakochaj się na nowo.

– *vampirebooksite.com (komentarz dotyczący Turned)*

Wspaniała fabuła. To ten rodzaj książki, którą ciężko odłożyć w nocy. Zakończona tak nieoczekiwanym i spektakularnym akcentem, iż będziesz natychmiast chciał kupić drugą część, tylko po to, aby zobaczyć, co będzie dalej.

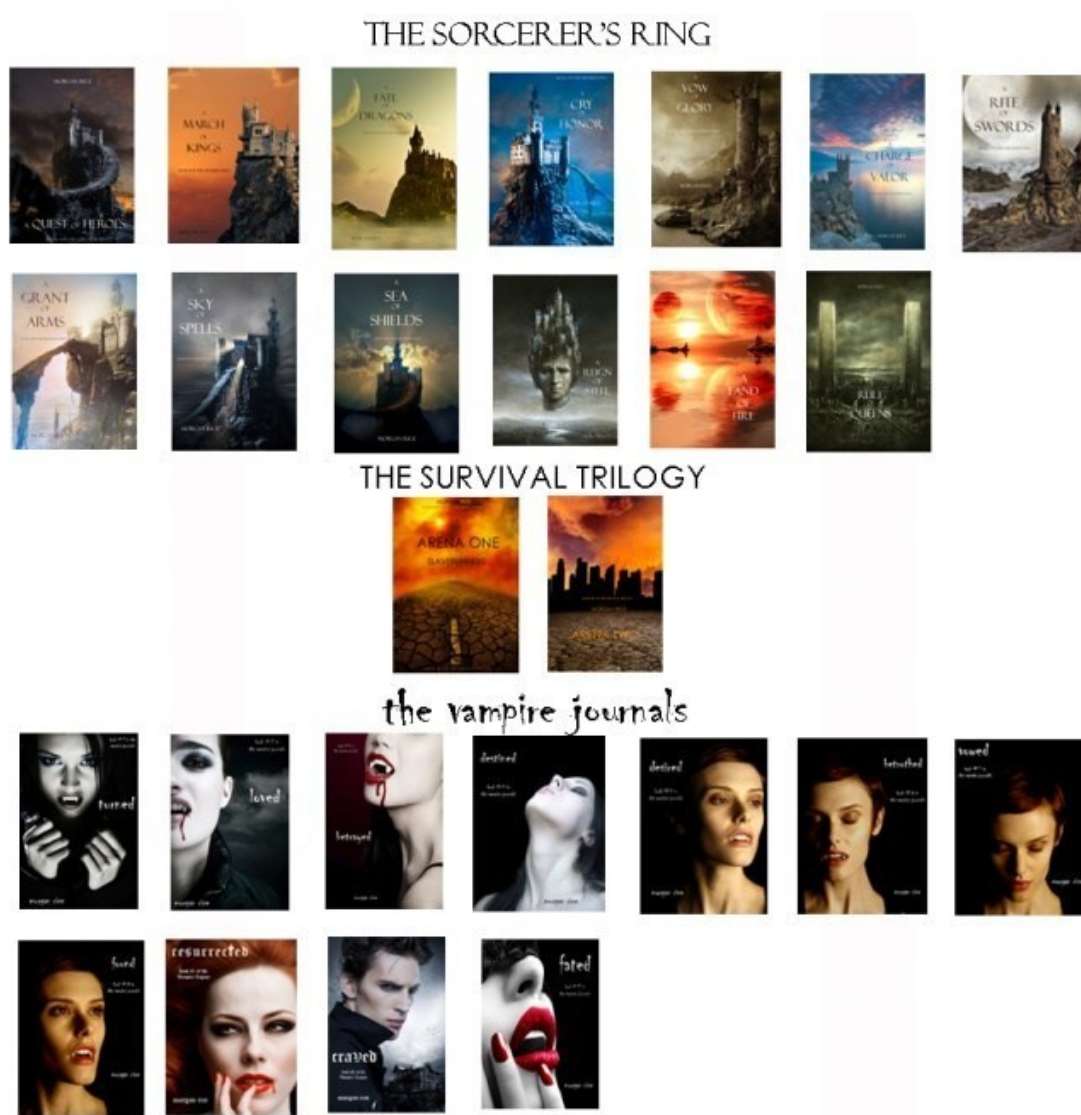
–*The Dallas Examiner* (komentarz dotyczący *Loved*)

Rywal ZMIERZCHU oraz PAMIĘTNIKÓW WAMPIRÓW. Nie będziesz mógł oprzeć się chęci czytania do ostatniej strony. Jeśli jesteś miłośnikiem przygody, romansu i wampirów to ta książka jest właśnie dla ciebie!

–*Vampirebooksite.com* (komentarz dotyczący *Turned*)

Morgan Rice udowadnia kolejny już raz, że jest szalenie utalentowaną autorką opowiadań... Jej książki podobają się szerokiemu gronu odbiorców łącznie z młodszymi fanami gatunku fantasy i opowieści o wampirach. Kończy się niespodziewanym akcentem, który pozostawia czytelnika w szoku.

–*The Romance Reviews* (komentarz dotyczący *Loved*)



Książki z cyklu KRAĞ CZARNOKSIEŻNIKA autorstwa Morgan Rice

A QUEST OF HEROES (Book #1) – Wyprawa Bohaterów
A MARCH OF KINGS (Book #2) – Marsz Władców
A FATE OF DRAGONS (Book #3) – Los Smoków
A CRY OF HONOR (Book #4) – Zew Honoru
A VOW OF GLORY (Book #5) – Błask Chwały
A CHARGE OF VALOR (Book #6) – Szarża Walecznych
A RITE OF SWORDS (Book #7) – Rytuał Mieczu
A GRANT OF ARMS (Book #8) – Ofiara Broni
A SKY OF SPELLS (Book #9) – Niebo Zaklęć
A SEA OF SHIELDS (Book #10) – Morze Tarcz
A REIGN OF STEEL (Book #11) – Żelazne Rządy
A LAND OF FIRE (Book #12) – Kraina Ognia
A RULE OF QUEENS (Book #13) – Rządy Królowych

— *Nie lękaj się wielkości:
Jednym przypada ona z urodzenia,
inni wydzwigną się ku niej,
innym nareszcie z nieba spadnie –*

William Shakespeare

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Luanda pomknęła przez plac przypominający pole bitwy w kierunku niewielkiego domostwa, w którym przed chwilą zniknął król McCloud. Ledwie udało jej się uniknąć stratowania przez galopującego konia, gdy biegła do swego celu. W dłoni ścisnęła zimny, żelazny pręt, a jej ciałem miotły dreszcze. Pokonywała zakurzoną drogę miasta, które kiedyś tak dobrze знаła, miasta, w którym żyli jej pobratymcy. Od miesięcy zmuszano ją, by była świadkiem ich rzezi – i miała już tego dość. Coś w niej pękło. Było jej wszystko jedno. Chociażby miała stanąć sama naprzeciw całej armii McClouda – zrobi wszystko, by to powstrzymać.

Wiedziała, że to, co zamierzała zrobić, było szalone, że stawiała na szali swoje życie i McCloud najprawdopodobniej ją zabije. Jednakże biegła dalej, odepchnawszy od siebie te myśli. Nadeszła pora, by zrobić to, co słuszne – bez względu na konsekwencje.

Zauważyła McClouda w oddali, po drugiej stronie placu, jak szedł wśród swych żołnierzy, taszcząc biedną, wrzeszczącą dziewczynę w kierunku opuszczonego domostwa, niewielkiej glinianej chaty. Zatrzasnął za sobą drzwi, wznosząc kłęby kurzu dokoła.

– Luanda! – dobiegł ją czyjś głos.

Obejrzała się i spostrzegła Bronsona. Był oddalony od niej o jakieś sto jardów i gonił ją. Zwolnił nagle, kiedy niekończący się potok żołnierzy i koni utrudnił mu bieg.

Luanda zobaczyła w tym swoją szansę. Jeśli Bronson ją dogoni, powstrzyma ją przed realizacją jej zamierzenia.

Podwoiła tempo. Ściskając pręt, próbowała nie myśleć, jak szalony był jej zamiar, jak nikłe szanse miała. Jeśli całym armiom nie udało się dotąd pokonać McClouda, jeśli jego generałowie, a nawet własny syn trzęśli się przed nim ze strachu, to jaką szansę mogła mieć ona jedna?

Co więcej, Luanda nigdy jeszcze nie zabiła człowieka, a co tu mówić o mężczyźnie tej postury, co McCloud. Czy, kiedy nadejdzie pora, nie zastygnie w miejscu ze strachu? Czy jest w stanie się do niego podkraść? Czy McCloud jest nietykalny, tak, jak ostrzegał ją Bronson?

Czuła, jak pogrom i rozlew krwi, jakie przyniosła ze sobą ta armia, przytłaczają ją. Żałowała, że kiedykolwiek zgodziła się wyjść za McClouda, mimo, że kochała Bronsona. Z czasem przekonała się, że McCloudowie to barbarzyńcy, których okrucieństwa nie da się okiełznać. MacGilowie mieli szczęście, że od McCloudów oddzielały ich Highlands; że McCloudowie zadomowili się po swojej stronie Kręgu. Dopiero teraz to sobie uświadomiła. Jaka była naiwna, jak głupia, kiedy myślała, że McCloudowie nie byli aż tak źli, jak jej to wkładano do głowy przez całe dzieciństwo. Sądziła, że zdoła ich zmienić, że zostając ich królową, a pewnego dnia królową, odniesie sukces, bez względu na ryzyko.

Teraz już wiedziała, jak bardzo się myliła. Oddałaby wszystko – swój tytuł, bogactwa, sławę i wszystko, co się z nimi wiąże, byleby tylko nigdy nie spotkać McCloudów, by pozostać bezpieczną wśród swej rodziny, po jej stronie Kręgu. Była zła, że jej ojciec zaaranżował to małżeństwo; była młoda i naiwna, powinna wiedzieć lepiej. Czy polityka aż tak bardzo dla niego się liczyła, że poświęcił własną córkę? Była na niego wściekła również dlatego, że umarł, że zostawił ją samą na pastwę tego wszystkiego wokoło.

Przez kilka ostatnich miesięcy przeszła twardą szkołę, nauczyła się polegać na sobie. I teraz nadeszła chwila, by wszystko naprawić.

Trzęsła się cała, kiedy wreszcie dotarła do glinianego domostwa i stanęła przed ciemnymi, dębowymi drzwiami. Odwróciła się i rozejrzała, spodziewając się, że ludzie McClouda rzucają się na nią z dwóch stron. Z ulgą stwierdziła jednak, że byli zbyt zajęci sianiem spustoszenia i nie zwracali na nią uwagi.

Uniosła dłoń i chwyciwszy gałkę przekreśliła ją najdelikatniej jak potrafiła. Modliła się, by nie wzbudziło to czujności McClouda.

Weszła do środka. Było ciemno. Jej wzrok nawykły do ostrego, słonecznego światła odbijanego przez białe mury miasta, powoli przyzwyczaił się do mroku. Przekroczyła próg. Poczowała chłód. Usłyszała też od razu szloch i zawrodość dziewczyny. Rozejrzała się po niewielkim domostwie. Na ziemi, rozebrany od pasa w dół leżał McCloud, a pod nim wykręcała się i walczyła rozebrana dziewczyna. Płakała i krzyczała z oczyma utkwionymi w suficie, a McCloud uniósł swą wielką, mięsistą dłoń i zasłonił jej usta.

Luanda nie mogła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę, że właśnie wciela swój plan w życie. Niepewnie postąpiła do przodu. Jej ręce się trzęsły, jej kolana robiły się coraz słabsze i modliła się o siłę, by móc zrealizować swój plan. Ścisnęła żelazny pręt jakby był jej ostatnią deską ratunku.

Proszę, Boże, pozwól mi zabić tego człowieka.

Słyszała jak McCloud chrząkał i stękał, jak jakieś dzikie zwierzę, czerpiąc przyjemność z gwałtu. Był niepokonany. Wrzaski dziewczyny zdawały się głośniejsze z każdym jego ruchem.

Luanda zrobiła kolejny krok, jeszcze jeden, aż w końcu znalazła się blisko McClouda. Spojrzała w dół na jego ciało, próbując wybrać najlepsze miejsce do wbicia pręta. Na szczęście zdjął z siebie kolczugę i w tej chwili miał na sobie tylko cienką, płócienną koszulę, przemoczoną od potu. Poczowała go i aż ją cofnęło. Postąpił nieostrożnie, zdejmując z siebie zbroję. Luanda postanowiła, że będzie to jego ostatni błąd. Zamierzała objąć pręt obiema rękoma, unieść wysoko i zatopić w jego obnażonym ciele.

Kiedy postękiwanie McClouda osiągnęło apogeum, Luanda wzniosła pręt. Pomyślała, jak odmieni się jej życie, jak za chwilę nic już nie będzie takie samo. Królestwo McCloudów wyzwoli się od rządów tyrana. Jej lud uniknie dalszej zagłady. Jej mąż zajmie jego miejsce i w końcu wszystko będzie dobrze.

Stała jednak nad nim unieruchomiona strachem. Trzęsła się. Wiedziała, że jeśli nic zaraz nie zrobi, to już nigdy nie zdobędzie się na odwagę.

Wstrzymała oddech, podeszła krok bliżej, uniosła pręt wysoko nad głowę obiema rękoma i nagle upadła na kolana, uderzając ze wszystkich sił w jego plecy, gotowa przebić go na wskroś.

Coś jednak wydarzyło się w tej samej chwili, zbyt szybko, by mogła zareagować. Jak przez mgłę zobaczyła, że w ostatnim momencie McCloud zdołał stoczyć się w bok. Jak na mężczyznę tej postury, był szybszy, niż mogła to sobie wyobrazić. Sturlał się, odsłaniając dziewczynę, a Luanda nie była już w stanie zatrzymać swego ciosu.

Żelazny pręt pomknął w dół, ku zgrozie Luandy, i przebił pierś dziewczyny.

Dziewczyna usiadła wyprostowana, krzycząc. Luanda zaś zmartwiała, czując jak ostrze przebiło pierś dziewczyny głęboko aż do serca. Krew pociekła z jej ust. Spojrzała na Luandę przerażona, z poczuciem zdrady.

W końcu upadła na plecy martwa.

Luanda klęczała. Była odrętwiała, nie mogła otrząsnąć się z tego, co przed chwilą zrobiła, a z czego nie w pełni zdawała sobie sprawę. Zanim jednak zdążyła to pojąć, zanim uświadomiła sobie, że McCloud był cały i zdrow, poczuła kłujący ból od uderzenia w twarz, które powaliło ją na ziemię.

Opadając w dół, zdała sobie niejasno sprawę, że McCloud właśnie uderzył ją, wymierzył potężny cios w jej twarz. Dopiero teraz dotarło do niej wszystko to, co uczyniła po wejściu do izby. McCloud przez ten cały czas udawał, czekał na ten moment, w którym nie tylko uniknął jej ciosu, ale również wmanewrował ją w zabicie tej nieszczęsnej dziewczyny, sprawił, by cała wina spoczęła na sumieniu Luandy.

Zanim świat zniknął we mgle, kątem oka dostrzegła wyraz twarzy McClouda. Przyglądał się jej, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu, dysząc ciężko jak jakieś dzikie zwierzę. Ostatnie, co usłyszała zanim jego wielki but uderzył ją w głowę, był jego gardłowy głos, którym wycharczał niczym zwierzę:

– Wyświadczyłaś mi przysługę – powiedział. – Już i tak z nią skończyłem.

ROZDZIAŁ DRUGI

Gwendolyn biegła krętymi ulicami najgorszej części Królewskiego Grodu. Łzy ciekły jej po policzkach od momentu, kiedy wybiegła z zamku, chcąc znaleźć się jak najdalej od Garetha. Jej serce wciąż mocno biło po rozmowie z bratem, gdy zobaczyła kołyszące się ciało powieszonego Firtha, kiedy usłyszała groźby Garetha. Usiłowała rozpaczliwie oddzielić prawdę od fałszu, od jego kłamstw. W jego umyśle jednak prawda i fałsz splątały się ze sobą i ciężko było powiedzieć, co pozostaje rzeczywiste. Może próbował ją jedynie nastraszyć? A może wszystko, co powiedział, było prawdą?

Widziała dyndające ciało Firtha na własne oczy, dlatego też tym razem to wszystko mogło okazać się prawdą. Być może Godfrey naprawdę został otruty; może rzeczywiście została sprzedana, wrobiona w małżeństwo z jednym z tych dzikich Nevarunów; może Thor zmierzał właśnie wprost w zastawioną na niego pułapkę. Na tę myśl przeszył ją dreszcz.

Czuła się bezradna. Musiała coś zrobić. Nie mogła pobiec za Thorem, ale mogła odszukać Godfreya i sprawdzić, czy rzeczywiście został otruty – i czy jeszcze żył.

Przyspieszyła kroku, zagłębiając się coraz bardziej w obskurne dzielnice miasta, dziwiąc się, że już dwukrotnie przyszło jej je odwiedzać w tak krótkim czasie, przebywać w tej części Królewskiego Grodu, która napawała ją obrzydzeniem, do której poprzysięgła nigdy nie wracać. Jeśli rzeczywiście Godfrey został otruty, to z pewnością stało się to w pijalni. No bo gdzie indziej? Była wściekła na niego, że tu wrócił, że zignorował niebezpieczeństwo, że był nieostrożny. Przede wszystkim jednak – obawiała się o niego. Uświadomiła sobie, jak bardzo bliski stał się jej brat w tych ostatnich kilku dniach, a myśl, że mogła również jego stracić, zwłaszcza teraz, po śmierci ojca, zostawiła pustkę w jej sercu. Czuła się też w pewien sposób odpowiedzialna.

Czuła autentyczny strach, pokonując kolejne ulice. Nie z powodu pijaków, czy też różnych rzezimieszków, których teraz mijała. Bała się raczej swego brata, Garetha. W trakcie ich ostatniej rozmowy zachowywał się, jakby go demon opętał. Nie mogła zapomnieć wyrazu jego twarzy, jego oczu – tak bardzo mrocznych, tak bezdusznych. Wyglądał na opętanego. Jego postać na tronie ich ojca nadawała wszystkiemu tylko więcej niesamowitości. Obawiała się jego poczynañ. Być może rzeczywiście knuł plan wydania jej za mąż, coś, na co ona nigdy się nie zgodzi; a może chciał tylko wyprowadzić ją z równowagi, a w rzeczywistości zamierzał ją zabić. Gwen rozejrzała się. Biegła i wszystkie twarze, które widziała zdawały się nieprzyjazne i obce. Każdy stanowił potencjalne zagrożenie, każdy mógł być wysłannikiem Garetha niosącym jej śmierć. Zaczynała popadać w paranoję.

Skręciła za rogiem i wpadła ramieniem na starszego, pijanego mężczyznę. Straciła równowagę, odskoczyła i krzyknęła mimowolnie. Miała nerwy napięte jak postronki. Dopiero po chwili zorientowała się, iż był to jakiś niechlujny przechodzień, a nie jeden z pachołków Garetha. Odwróciła się i zobaczyła, jak mężczyzna zatoczył się i bez jednego słowa przeprasza, poszedł dalej. Nie mogła znieść poniżenia, z jakim spotykała się w tej części miasta. Gdyby nie chodziło o Godfreya, nigdy nie zbliżyłaby się nawet do tej części miasta. Nienawidziła go za to, że musiała teraz tak bardzo się zniżyć. Dlaczego nie mógł po prostu trzymać się z dala od pijalni?

Pokonała kolejny zakręt i ujrzała przed sobą tawernę Godfreya, lichą namiastkę biznesu, pochylającą się nad ziemią, z otwartymi drzwiami, przez które co chwilę wpadali i wypadali pijacy. Nie marnując czasu, Gwen wtargnęła przez otwarte drzwi do wnętrza.

Minęła chwila zanim jej oczy przyzwyczaiły się do półmroku w izbie, zalatującej smrodem stęchłego piwa i ludzkiego potu. Kiedy weszła, w karczmie zapanowała cisza. Cisnący się przy stołach klienci, w liczbie około dwóch tuzinów, odwrócili się jak na komendę i popatrzyli na nią. Oto stanęła przed nimi członkini rodziny królewskiej, odziana w najlepsze szaty, wpadłszy do izby niesprzątanej prawdopodobnie od lat.

Podeszła do wysokiego mężczyzny z wielkim brzuchem, rozpoznawszy w nim Akortha, jednego z towarzyszy Godfreya od kufla.

– Gdzie mój brat? – zażądała odpowiedzi.

Akorth, który zazwyczaj był w dobrym humorze, zawsze gotowy skwitować wszystko tandetnym żartem, z którego sam czerpał radość, tym razem zadziwił ją: jedynie potrząsnął głową.

– Nie jest dobrze, moja pani – odpowiedział ponurym tonem.

– O czym mówisz? – spytała z naciskiem czując, jak jej serce zaczyna bić mocniej.

– Wypił coś niedobrego – powiedział wysoki, szczupły mężczyzna, Fulton, drugi kompan Godfreya. – Zaniemógł późno zeszłej nocy i już nie wstał.

– Żyje? – zapytała ze strachem i złapała Akortha za nadgarstek.

– Ledwie co – odparł i spuścił wzrok. – Ciężko to znosi. Niecałą godzinę temu przestał się całkowicie odzywać.

– Gdzie on jest? – spytała z naciskiem.

– Na tyłach, kochaniutka – powiedział karczmarz wycierając kufel z ponurą miną. – Najlepiej byłoby, gdybyś coś z nim zrobiła. Nie mam zamiaru przetrzymywać truposza w moim zajęzdzie.

Poruszona do głębi Gwen wyciągnęła niewielki sztylet i ku swemu zdziwieniu nachyliła się nad kontuarem i przycisnęła czubek ostrza do krtani mężczyzny.

Mężczyzna przełknął głośno i spojrzał na nią zszokowany, a cała izba utonęła w martwej ciszy.

– Po pierwsze – powiedziała – to miejsce nie jest zajazdem, raczej nędzną namiastką wodopoju, który królewskie straże zetrą z powierzchni ziemi, jeśli ponownie odezwiesz się do mnie w ten sposób. Możesz zacząć zatem od tytułowania mnie moja pani.

Gwen czuła, jakby nie była sobą. Siła, która ją przepełniała, zaskoczyła ją samą. Nie miała pojęcia, skąd ją czerpała.

Karczmarz przełknął ślinę.

– Moja pani – powtórzył niczym echo.

Gwen przytrzymała sztylet przy jego krtani.

– Po drugie, mój brat nie umrze, a już na pewno nie tutaj. Jego ciało przyniosłoby temu miejscu znacznie więcej zaszczytu niż ktokolwiek z żywych, który tu zawitał. Jeśli zaś rzeczywiście umrze, możesz być pewien, że cała wina spadnie na ciebie.

– Ale ja nic złego nie zrobiłem, moja pani! – powiedział błagalnym tonem. – Wypił to samo piwo, które piją pozostali!

– Ktoś musiał je otruć – dodał Akorth.

– To mógł być każdy – powiedział Fulton.

Gwen powoli opuściła swój sztylet.

– Zaprowadźcie mnie do niego. Natychmiast! – rozkazała.

Karczmarz spuścił wzrok z pokorą, odwrócił się i wyszedł pośpiesznie bocznymi drzwiami za kontuarem. Gwen podążyła za nim, deptając mu po piętach. Akorth i Fulton ruszyli za nią.

Weszła do tylniej izby karczmy i z jej ust wyrwał się stłumiony okrzyk na widok jej brata, Godfreya, leżącego na podłodze na wznak. Nigdy jeszcze nie widziała go aż tak bladego. Wyglądał, jakby jeden krok dzielił go już tylko od śmierci. Jednak wszystko było prawdą.

Gwen podbiegła do brata. Chwyciła jego zimną i lepką od potu dłoń. Nie zareagował. Jego głowa spoczywała na ziemi – był nieogolony, a jego przetłuszczone włosy przykleiły się do czoła. Poczowała jednak jego puls, słaby, mimo to wciąż wyczuwalny. Zauważyła, jak z każdym oddechem unosiła się jego klatka piersiowa. Żył.

Nagle zawładnęło nią przemożne poczucie wściekłości.

– Jak mogłeś zostawić go tutaj w tym stanie? – krzyknęła i zwróciła się w kierunku karczmarza. – Mojego brata, członka rodziny królewskiej, pozostawionego niczym psa zdychającego w samotności na ziemi?

Mężczyzna przełknął ślinę z widocznym zdenerwowaniem.

– Co innego miałbym zrobić, moja pani? – zapytał niepewnie. – To nie szpital. Wszyscy mówili, że już praktycznie nie żyje i...

– On żyje! – wrzasnęła. – Wy dwaj – powiedziała, odwróciwszy się do Akortha i Fultona – co z was za przyjaciele? Czy on zostawiłby was tak?

Akorth i Fulton wymienili potulne spojrzenia.

– Wybacz mi – powiedział Akorth. – Zeszłej nocy przybył lekarz. Przyjrzał się mu i powiedział, że Godfrey umiera – i jedynie można czekać, aż nadejdzie jego koniec. Nie sądziłem, że można zrobić jeszcze cokolwiek.

Przesiedzieliśmy z nim większą część nocy, moja pani – rzekł Fulton – u jego boku. Zrobiliśmy sobie jedynie krótką przerwę, by w napitku utopić nasz smutek, a wtedy ty, pani weszłaś i...

W przypiływie gniewu machnęła ręką i wybiła kufle z ich dłoni, które spadły na ziemię, rozpryskując piwo na wszystkie strony. Spojrzeli na nią zaskoczeni.

– Chwyćcie go z obu stron – rozkazała oziębłym tonem. Stojąc nad bratem czuła, jak ogarnia ją poczucie siły. – Wyniesiecie go stąd. Pójdziecie za mną przez cały Królewski Gród aż do siedziby królewskiej uzdrowicielki. Mój brat będzie miał szansę rzeczywiście wyzdrowieć, a nie szczeźnie tu, bo tak zawyrokował jakiś tępny lekarz.

– A ty – dodała, obróciwszy się w stronę karczmarza. – Jeśli mój brat przeżyje, jeśli wróci tu kiedykolwiek, a ty podasz mu napitek, sprawię i to osobiście, byś do końca swych dni nie opuścił lochu.

Mężczyzna przestąpił z nogi na nogę i spuścił głowę.

– A teraz za mną! – krzyknęła.

Akorth i Fulton drgnęli i zabrali się do dzieła. Gwen opuściła pospiesznie izbę w towarzystwie ich dwóch dźwigających jej brata. Wyszli z karczmy na rozświetloną jasnym słońcem drogę.

Przeciskali się zatłoczonymi uliczkami Królewskiego Grodu, zmierzając w kierunku kwatery uzdrowicielki. Gwen modliła się w duchu, aby tylko nie było za późno.

ROZDZIAŁ TRZECI

Thor galopował na swym rumaku przez piaszczyste rubieże królewskich ziem, wśród niezliczonej armii złożonej z członków legionu i Srebrnej Gwardii z Kendrickiem, Kolkiem i Bromem na czele. W jego pobliżu jechali Reece, O'Connor, Elden i bliźniacy. Krohn biegł jak zwykle tuż obok Thora. Jechali w zwartym szyku na wschód, na spotkanie z oddziałami McClouda, by odbić zajęte przez niego miasto. Tętent końskich kopyt zagłuszał wszystko, dudnił niczym uderzenia piorunów. Jechali cały dzień. Drugie słońce rzucało już długie cienie. Thor nadal nie mógł pojąć, że oto jedzie wśród tych wspaniałych wojowników na swoją pierwszą wojskową misję. Czuł, że traktowali go jak jednego ze swoich. W rzeczy samej, cały legion powołano w formie rezerwy i teraz Thor jechał w otoczeniu wszystkich towarzyszy broni. Liczba członków legionu była jednak niczym w porównaniu z tysiącami żołnierzy królewskiej armii. Pierwszy raz w swoim życiu Thor czuł, że jest częścią czegoś większego.

Widział też przed sobą cel. Czuł, że jest potrzebny. Jego ziomkowie stali się obiektem bezpośredniego ataku i tylko oni mogli przyjąć im z pomocą, przywrócić wolność i uchronić od strasznego losu. Znaczenie ich misji ciążyło mu niczym kamień – jednocześnie sprawiając, iż czuł, że żyje.

Towarzystwo tak wielu ludzi napawało Thora poczuciem bezpieczeństwa, ale też było powodem zmartwienia: w końcu byli to żywi ludzie, którzy mieli wkrótce stanąć do walki z armią złożoną również z żywych ludzi. Prawdziwych, zahartowanych w boju wojowników. Tym razem stawką było ich życie. Tym razem chodziło o coś znacznie więcej, coś, czego jak dotąd jeszcze nie doświadczył. Instynktownie sięgnął dłonią do pasa i poczuł dodającą mu otuchy wysłużoną procę i nowy miecz. Zastanawiał się, czy pod koniec dnia będzie nosił ślady przelanej krwi. Lub czy sam odniesie jakieś rany.

Kiedy armia minęła zakręt i ludzie ujrzeni po raz pierwszy oblegane miasto, nagle z ich gardeł wydobył się krzyk, donośniejszy nawet niż dudnienie końskich kopyt. Tumany czarnego dymu zawisły nad miastem w wielu miejscach. Żołnierze pogonili swe rumaki. Thor również ponaglił swego konia, usiłując dotrzymać im tempa. Wszyscy dobyli mieczy, unieśli nad głowami i pogalopowali ku miastu powodowani żądzą odwetu.

Wielka armia podzieliła się na mniejsze grupy. W grupie Thora znalazło się dziesięć osób, dziesięć legionistów, jego przyjaciele i kilku innych, których nie znał. Na ich czele jechał jeden z wyższych rangą dowódców królewskiej armii, którego zwali Forgiem. Był wysoki, szczupły, o żylastej budowie ciała, skórze pokrytej bliznami, krótko przyciętych, siwych włosów i ciemnych, zapadniętych oczach. Armia dzieliła się na mniejsze oddziały, które odbijały we wszystkich kierunkach.

– Wasza grupa, za mną! – rozkazał dowódca, wskazując swym obuchem Thora i pozostałych, by podążyli za nim.

Uśłuchali rozkazu i pojechali za Forgiem, zostawiając za sobą trzon ich armii. Thor obejrzał się i zauważył, że oddalili się na większą odległość niż pozostałe grupy. Zaczął zastanawiać się, dokąd prowadził ich dowódca, kiedy Forg krzyknął:

– Zajmiemy pozycję na flance McCloudów!

Thor i pozostali członkowie oddziału wymienili zaniepokojone i podekscytowane spojrzenia. Pogalopowali dalej i wkrótce armia MacGilów zniknęła im z oczu.

Znaleźli się na nieznanym terenie. Nie mogli dostrzec miasta. Thor zachował czujność, jednak po armii McClouda również nie było śladu.

W końcu Forg wstrzymał konia przed niewielkim wzniesieniem, w zagajniku utworzonym przez kilka drzew. Inni zatrzymali się tuż za nim.

Spojrzeni na Forga zastanawiając się, dlaczego się zatrzymał.

– Naszą misją jest tamten stołp – wyjaśnił Forg. – Jesteście młodymi wojownikami i chcemy oszczędzić wam prawdziwej bitwy. Zostaniecie na pozycji, kiedy nasza armia oswobodzi miasto i zmierzy się z McCloudami. Mało prawdopodobne, że żołnierze McClouda pojawią się tutaj, więc będziecie bezpieczni. Zajmijcie pozycje wokół budowli i nie opuszczajcie ich dopóki nie otrzymacie innego rozkazu. Teraz w drogę!

Forg pogonił kopniakiem swego wierzchowca i pogalopował w górę wzniesienia. Thor i reszta grupy podążyła za dowódcą. Jechali przez piaszczyste równiny, wzbijając tumany kurzu. Nigdzie jak okiem sięgnąć nie było nikogo. Thor poczuł rozczarowanie, że odsunięto go od bezpośredniej konfrontacji; przed czym ich tak chroniono?

Im dalej jechali, tym bardziej Thor czuł, że coś jest nie tak. Nie potrafił stwierdzić, co to takiego, jednak jego szósty zmysł ostrzegał go przed czymś.

Kiedy zbliżyli się do wierzchołka wzniesienia, na którym stał niewielki, pradawny stołp – wysoka, smukła, wyglądająca na opuszczoną wieżyczka – coś w Thorze kazało mu odwrócić się. Wówczas zobaczył Forga. Zdziwił się, że ten stopniowo wycofał się, pozostał w tyle, aż w końcu zawrócił i bez ostrzeżenia pognął konia i pogalopował w odwrotnym kierunku.

Thor nie mógł zrozumieć, co się dzieje. Dlaczego Forg tak nagle ich opuścił? Krohn zakwilił tuż obok.

Kiedy właśnie uświadamiał sobie całe to zajście, jego grupa dotarła do wierzchołka, do antycznej budowli, nie spodziewając się niczego poza kolejnym pustkowiem.

Jednak ich niewielki oddział legionistów zmuszony został nagle do wstrzymania rumaków. Patrzyli w oniemieniu na roztaczający się przed nimi widok.

Przed nimi bowiem stała cała armia McClouda. Stała i czekała.

Wpadli wprost w pułapkę.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Gwendolyn przemierzała pospiesznie wijące się uliczki Królewskiego Grodu, rozpychając na boki cisnące się pospólstwo. Akorth i Fulton szli zaraz za nią, dźwigając Godfreya. Zamierzała dotrzeć do uzdrowicielki w jak najkrótszym czasie. Godfrey nie mógł umrzeć, nie po tym wszystkim, przez co oboje przeszli, a już na pewno nie w taki sposób. Oczami wyobraźni widziała uśmiech samozadowolenia na twarzy Garetha, kiedy dotrą do niego wieści o śmierci Godfreya – i z całą stanowczością zamierzała nie dopuścić do tego. Żałowała jedynie, iż nie dotarła do niego wcześniej.

Minęła róg i weszła na miejski plac, nadzwyczajnie zatłoczony. Podniosła wzrok i zobaczyła Firtha nadal wiszącego na belce, z zaciśniętą na szyi pętlą, dyndającego na oczach wszystkich gapiów. Instynktownie odwróciła wzrok. Widok był ohydny i przypominał jej o nikczemności brata. Czuli, że nie zdoła uciec przed nim, gdziekolwiek się uda. Dziwne to było uczucie – jeszcze wczoraj rozmawiała z Firthem, a teraz wisiał przed nią martwy. Nie potrafiła wyzbyć się przeczucia, że śmierć coraz bardziej zacieśnia krąg wokół niej, że i po nią wkrótce przyjdzie.

Bardzo chciała odwrócić się i pójść inną drogą, lecz wiedziała, że droga przez plac prowadziła bezpośrednio do celu. Nie zamierzała ulec swym strachom; zmusiła się, by przejść pod szafotem, tuż obok wiszących zwłok. Wówczas stanął jej na drodze królewski kat, mężczyzna odziany w czarne szaty.

Najpierw pomyślała, że zamierzał również ją zabić – ten jednak oddał jej pokłon.

– Moja pani – powiedział uniżenie i schylił głowę z szacunkiem. – Nie otrzymałem jeszcze królewskiego rozkazu, co zrobić z ciałem. Nie pouczono mnie, czy przygotować odpowiedni pochówek, czy wrzucić do masowego grobu nędzarzy.

Gwen zatrzymała się, zdenerwowana tym, że to na jej barki spadła ta sprawa. Akorth i Fulton stanęli za nią. Podniosła oczy w górę, zmrużyła przed słońcem i spojrzała na dyndające ciało nie dalej niż o stopę od niej. Miała już ruszyć dalej i zignorować kata, kiedy nagle coś sobie uprzytomniła. Chciała sprawiedliwości w imieniu ojca.

– Wrzuc go razem z nędzarzami – powiedziała. – Bez tabliczki, bez pogrzebnego namaszczenia. Chcę by jego imię zostało wymazane ze stronic historii.

Uklonił się na potwierdzenie, a Gwen poczuła niewielkie zadośćuczynienie. Jakby nie było, to on zabił jej ojca. Nienawidziła przemocy w każdej postaci, jednak nad Firthem nie uroniła ani jednej łzy. Czuli obecność ducha ojca przy sobie, bardziej niż kiedykolwiek i spokój, jaki z niego emanował.

– Jeszcze jedno – dodała, zatrzymując kata. – Zdejmij to ciało.

– Teraz, pani? – spytał kat. – Król wydał rozkaz, by wisiało tu po wieki.

Gwen potrzaskała głową.

– Teraz – powtórzyła. – Król zmienił rozkaz – skłamała.

Kat uklonił się i ruszył odciąć zwłoki z szafotu.

Gwen ponownie poczuła zadośćuczynienie. Nie miała wątpliwości, że Gareth sprawdza co chwilę przez swoje okno, czy Firth wisi na miejscu – usunięcie jego ciała z pewnością go zirytuje, przypomni mu, że nie zawsze sprawy potoczą się zgodnie z jego życzeniem.

Gwen miała już odejść, kiedy nagle usłyszała wyraźny pisk; zatrzymała się i odwróciła. Wysoko na belce szafotu ujrzała Estopheles. Gwen przyłożyła do oczu dłoń, by je osłonić przed słonecznym blaskiem, by sprawdzić, czy jej wzrok nie myli. Estopheles pisnęła ponownie i rozłożyła skrzydła, po czym złożyła je i siadła na belce.

Gwen czuła, że sokół niesie ze sobą ducha jej ojca. Jego dusza, wiecznie niespokojna, była teraz o krok bliżej pokoju.

Nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł; zagwizdała i wyprostowała rękę. Estopheles sfrunęła z belki i wylądowała na nadgarstku Gwen. Ptak był ciężki, a jego szpony wbiły się w jej skórę.

– Leć do Thora – wyszeptała do sokoła. – Znajdź go na polu bitwy. Chroń go. Leć! – krzyknęła Gwen i podniosła rękę.

Estopheles zaczęła machać skrzydłami i wkrótce uniosła się wysoko do nieba. Gwen modliła się w duchu, by to zadziało. Czuła, że w tym ptaku drzemała jakaś tajemnica, że między sokołem i Thorem była jakaś specjalna więź i wszystkiego można było się spodziewać.

Gwen ruszyła dalej, przemierzając kolejne kręte ulice w kierunku chaty uzdrowicielki. Przeszli pod jedną z kilkunastu bram z łukowym sklepieniem, które wiodły na zewnątrz miasta. Gwen szła tak szybko, jak mogła i modliła się aby Godfrey wytrzymał wystarczająco długo, zanim otrzyma pomoc.

Drugie słońce schyliło się nad horyzontem, kiedy dotarli do niewielkiego pagórka na peryferiach Królewskiego Grodu i przed sobą ujrzeli chatę uzdrowicielki. Była to prosta, jednoizbowa budowla o białych ścianach ulepionych z gliny, z jednym małym oknem po każdej stronie i jednymi, małymi, dębowymi drzwiami w kształcie łuku. Z dachu zwisały różnorodne kolorowe rośliny, otaczając chatę wiankiem. Wokół rozciągał się zielarski ogród pełen wielobarwnych kwiatów o rozmaitej wielkości, co sprawiało wrażenie, że miejsce to wyglądało niczym wnętrze szklarni.

Gwen podbiegła do drzwi i uderzyła żelazną kołatką kilkukrotnie. Drzwi otworzyły się i przed nią pojawiła się twarz wystraszonej uzdrowicielki.

Illepra. Przez całe swe życie służyła rodzinie królewskiej i w świadomości Gwen istniała, od kiedy tylko ta nauczyła się chodzić. Mimo to, uzdrowicielce nadal udawało się zachować młody wygląd – w zasadzie wyglądała niewiele starszej od Gwen. Jej skóra wręcz promieniała, olśniewała, uwydatniając jej zielone, pełne życliwości oczy, dzięki czemu wyglądała na niewiele więcej, niż osiemnaście lat. Gwen wiedziała, że kobieta była znacznie starsza, że jej wygląd był ułudą. Wiedziała też, że Illepra jest jedną z najmądrzejszych i najbardziej utalentowanych osób, jakie kiedykolwiek poznała.

Wzrok Illepry powędrował w kierunku Godfreya zaraz po tym jak uświadomiła sobie, co widzi. Darowała sobie wszelkie uprzejmości, a jej oczy rozwarły się szeroko w zatroskaniu. Dotarło do niej, jak bardzo nagła to była sprawa. Wyminęła Gwen i podeszła do Godfreya. Położyła dłoń na jego czole i zmarszczyła brwi.

– Wnieście go – rozkazała obu mężczyznom pospiesznie – i to już.

Illepra weszła z powrotem do swej chaty, otwierając drzwi szerzej, a oni weszli za nią. Gwen podążyła za nimi, schylając się w niskim wejściu i zamknęła za sobą drzwi.

W środku panował półmrok i dopiero po chwili oczy Gwen przystosowały się do niego. Wówczas ujrzała dokładnie to, co zapamiętała, kiedy była jeszcze małą dziewczynką: małą, jasną, czystą izbę pełną roślin, ziół i różnorodnych naparów.

– Połóżcie go tam – rozkazała Illepra poważnym tonem, którego Gwen nigdy jeszcze u niej nie słyszała. – Na tamtym łożu w narożniku. Zdejmijcie jego obuwie i koszulę. A potem wyjdźcie.

Akorth i Fulton zrobili dokładnie tak, jak im kazano. Kiedy wychodzili, Gwen chwyciła ramię Akortha.

– Stańcie na straży za drzwiami – rozkazała. – Ktokolwiek zrobił to Godfreyowi, może spróbować ponownie. Lub zrobić to mnie.

Akorth skinął głową i wyszedł z izby razem z Fultonem, zamykając za sobą drzwi.

– Jak długo jest w tym stanie? – spytała natarczywym tonem Illepra. Nie patrząc w ogóle na Gwen, uklękła u boku Godfreya i zaczęła sprawdzać jego nadgarstki, brzuch i krtań.

– Od wczorajszej nocy – odparła Gwen.

– Wczorajszej nocy! – niczym echo powtórzyła Illepra z niepokojem. Badała go w ciszy przez długą chwilę, a wyraz jej twarzy z każdą sekundą coraz bardziej pochmurniał.

– Nie jest dobrze – skwitowała.

Położyła dłoń na jego czole i tym razem zamknęła oczy, oddychając głęboko przez długi czas. W izbie zapanowała pełna napięcia cisza i Gwen zaczęła tracić poczucie czasu.

– Trucizna – wyszeptła w końcu Illepra z wciąż zamkniętymi oczyma, jakby wyczuwała stan Godfrey'a przez dotyk.

Gwen zawsze fascynowały umiejętności Illepry; uzdrowicielka nie myliła się nigdy, ani razu w całym swoim życiu nie popełniła błędu. Ocaliła zaś więcej istnień, niż zabrała ich cała armia. Gwen zastanawiała się, czy swe umiejętności Illepra nabyła w trakcie nauki, czy też były kwestią dziedziczenia. Matka Illepry była uzdrowicielką, tak samo jak matka jej matki. Mimo to, Illepra spędzała każdą dosłownie chwilę, badając właściwości wywarów i doskonaląc sztukę uzdrawiania.

– Bardzo silna trucizna – dodała Illepra z większym przekonaniem. – Rzadko spotykana. I bardzo droga. Kimkolwiek był ten, który próbował go zabić, wiedział, co robi. Aż dziw, że jeszcze nie umarł. Musi być silny, silniejszy, niż sądzimy.

– Ma to po ojcu – powiedziała Gwen. – Miał organizm silny niczym u byka. Podobnie jak wszyscy królowie z linii MacGil.

Illepra przeszła na drugą stronę izby i zmieszała kilka ziół na kamiennym bloku. Poszatkowała je i ugniotła, dodając do mikstury jakiś płyn. W końcu otrzymała gęstą, zieloną zawiesinę, którą nałożyła na swą dłoń i podbiegła do Godfrey'a. Posmarowała balsamem krtani, wewnętrzną część ramienia i czoło Godfrey'a. Kiedy skończyła, wróciła do kąta, chwyciła szklane naczynie i wlała do niego kilka cieczy: czerwoną, brązową i fioletową. Płyny zmieszały się ze sobą, bulgocząc i sycząc. Zamieszała całość długą, drewnianą łyżką, po czym podeszła szybko do Godfrey'a i wlała ją jemu do ust.

Godfrey nie zareagował. Illepra podparła jego głowę dłonią i uniosła, zmuszając go, by wypił miksturę. Większość pociekła po policzkach, trochę jednak udało się jej wlać mu do gardła.

Uzdrowicielka starła resztę płynu z ust i buzi Godfrey'a, po czym odchyliła się i westchnęła.

– Przeżyje? – spytała Gwen rozpaczliwie.

– Być może – odpowiedziała ponuro kobieta. – Dałam mu wszystko, co mam, ale to nie wystarczy. Jego życie jest w rękach przeznaczenia.

– Co mogę dla niego zrobić? – spytała Gwen.

Illepra odwróciła się i popatrzyła na nią.

– Módl się. To będzie naprawdę długa noc.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kendrick nigdy nie doceniał wolności – prawdziwego jej znaczenia – aż do dziś. Czas spędzony w lochu zmienił jego spojrzenie na życie. Teraz cenił każdą, drobną nawet rzecz – uczucie słonecznego ciepła, wiatru we włosach, samo bycie na zewnątrz. Szarżując w tej chwili na koniu, czując, jak ziemia porusza się pod nim, czując dotyk zbroi ponownie na sobie, broni przy boku, jadąc w otoczeniu towarzyszy, miał wrażenie, jakby wystrzelono nim z działa, czuł przyływ brawury, jakiej nigdy jeszcze nie doświadczył.

Galopował nachylony nisko przed wiatrem, a u jego boku jechał bliski przyjaciel – Atme. Kendrick czuł wdzięczność za to, że mógł walczyć u boku swych braci, że mógł wziąć udział w bitwie, czuł nieodpartą chęć oswobodzenia miasta spod okupacji McCloudów – wymierzenia im kary za inwazję. Jechał ogarnięty żądzą rozlewu krwi, chociaż wiedział, że prawdziwym adresatem jego gniewu nie byli McCloudowie, a jego brat Gareth. Nigdy nie wybaczy mu, że uwięził go, że oskarżył o zabójstwo ich ojca, że rozkazał ująć go na oczach jego ludzi – i za to, że próbował go zgładzić. Chciał zemścić się na Garethie – ponieważ jednak nie mógł uczynić tego w tej chwili, zamierzał obrócić tą zemstę przeciw McCloudom.

Kiedy już wróci na królewski dwór, uporządkuje te sprawy. Zrobi wszystko, by usunąć brata z tronu i posadzić na nim swą siostrę Gwendolyn, jako nową władczynię królestwa.

Kiedy zbliżyli się do splądrowanego miasta, ujrzeni unoszące się nad nim i płynące w ich kierunku chmury czarnego dymu, który wypełnił nos Kendricka gryzącą wonią. Czuł ból na widok miasta MacGilów w tak opłakanym stanie. Gdyby jego ojciec nadal żył, to nigdy nie miałoby miejsca. Gdyby Gareth nie wstąpił na tron, to również nigdy nie wydarzyłoby się. Była to zniewaga, plama na honorze MacGilów i Srebrnej Gwardii. Kendrick modlił się o to, aby nie przybywali za późno, aby zdążyli ocalić tych ludzi, by okazało się, że McCloudowie dopiero co tu przybyli, i aby niewielu ludzi zostało rannych, czy też zabitych.

Pogonił konia kopnięciem, wyprzedzając pozostałych jeźdźców. Pędzili razem niczym rój pszczoł w kierunku otwartych bram miasta. Kiedy przejeżdżali przez nie, Kendrick dobył miecza gotowy zmierzyć się z zastępami wojska McCloudów, szarżując wprost na nich. Wydał z siebie krzyk, podobnie jak wszyscy wokoło i przygotował się na uderzenie.

Kiedy jednak zostawił bramę za sobą i wjechał rozpędzony na ziemisty plac miejski, widok tego, co tam zastał, zaszokował go. Nie było tu nic. Poza oznakami inwazji, zniszczeń, ognia, złupionych domostw, stosów ciał i szwendających się kobiet. Zabito nawet zwierzęta. Na ścianach widoczna była krew. Jedna wielka masakra. McCloudowie wymordowali niewinnych ludzi. Sama ta myśl sprawiła, że Kendrickowi zrobiło się niedobrze. Tchórze!

Co go jednak najbardziej zdumiało, kiedy jechał ulicami miasta, była całkowita nieobecność McCloudów. Nie mógł tego zrozumieć. Wyglądało na to, że cała armia opuściła to miejsce z jakiegoś powodu, jakby wiedziała, że zbliża się kontrnatarcie. Ogień pożogi jeszcze nie wygasł. Najwyraźniej rozpalono go w jakimś celu.

Kendrick zaczął podejrzewać, że to wszystko mogło być jedynie przynętą, że McCloudowie chcieli zwabić w to miejsce armię MacGilów.

Ale z jakiego powodu?

Nagle obrócił się i rozejrzał dokoła, rozpaczliwie sprawdzając, czy któregoś z jego ludzi nie brakuje, czy któryś z jego oddziałów nie został odciągnięty na bok, w jakieś inne miejsce. W jego umyśle zrodził się niepokój, przeczucie, że to wszystko zostało przez kogoś zaplanowane, aby oddzielić część jego ludzi od reszty, zwabić ich w pułapkę. Zlustrował cały oddział zastanawiając się, kogo brakowało.

I wtedy do niego dotarło. Jednej osoby nie było. Jego giermka.

Thora.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Thor siedział na swym koniu na szczycie wzniesienia pośród pozostałych legionistów i wpatrywał się w zdumiewający widok: konne oddziały McCloudów, wielka i ciągnąca się jak okiem sięgnąć armia wroga, oczekująca na nich. Wpadli w pułapkę. Forg specjalnie ich tu przyprowadził. Zdradził ich. Ale dlaczego?

Thor przełknął ślinę, przyglądając się temu, co mogło skończyć się tylko ich śmiercią.

Nagle rozległ się potężny okrzyk bojowy i armia McClouda rozpoczęła szarżę. Byli zaledwie kilkaset jardów dalej i bardzo szybko pokonywali dzielącą ich odległość. Thor obejrzał się, ale nie nadchodziły żadne posiłki. Byli zupełnie sami.

Wiedział, że nie mieli innego wyboru, jak przeciwstawić się wrogowi po raz ostatni, tu, na tym niewielkim wzniesieniu, przy tej opuszczonej wieżycze. Ich szanse nie były nawet mizerne. Nie istniał żaden sposób, by wygrać tę potyczkę. Jeśli jednak miał teraz polec, postanowił zrobić to odważnie, zmierzyć się z nimi wszystkimi jak mężczyzna. Zawdzięczał to legionowi. To tam nauczył się, że ucieczka nie wchodzi w grę. Przygotował się na śmierć.

Odwrocił się i spojrzał na twarze swych towarzyszy. Widział, że oni również byli bladzi z przerażenia. W ich oczach dostrzegł śmierć. Jednakże musiał im to przyznać, że zachowali odwagę. Żaden z nich nie drgnął, mimo że ich konie zaczęły wierzgać, jakby miały zaraz zawrócić i uciec. Ich oddział był teraz jednością. Byli kimś więcej, niż tylko przyjaciółmi: Rytuał Stu Dni stworzył z nich braci. Żaden nie zostawiłby drugiego w potrzebie. Wszyscy złożyli przysięgę. Na szali zaś był teraz ich honor. Dla legionisty honor znaczył więcej niż krew.

– Panowie, wierzę, iż czeka nas walka – oznajmił wolnym tonem Reece i sięgnął po swój miecz.

Thor wyjął swoją procę z zamiarem wyeliminowania jak największej liczby żołnierzy wroga, zanim do nich dotrą. O'Connor chwycił krótką włócznię, a Elden podniósł oszczep. Conval trzymał już rzucany młot, Conven zaś rzucany topór. Pozostali członkowie drużyny, legioniści, których Thor nie znał, dobyli mieczy i wzniesli tarcze. Thor wyczuwał w powietrzu ich strach. Sam się bał. Odgłos uderzających o ziemię kopyt dudnił coraz głośniejsze, a dźwięk okrzyków ludzi McClouda unosił się pod niebo coraz wyżej. Jakby za chwilę mieli dostać się pod nawałnicę piorunów. Thor wiedział, że potrzebują jakiegoś planu – nie wiedział jednak, co niby mieliby zrobić.

Stojący u jego boku Krohn warknął. Odwaga kota natchnęła Thora: Krohn nigdy nie zaskomlił, czy chociażby odwrócił wzrok. Wręcz przeciwnie. Włosy na jego karku zjeżyły się i powoli ruszył przed siebie, jakby samemu chciał rozprawić się z całą armią. Thor wiedział, że Krohn był jego najprawdziwszym towarzyszem broni.

– Myślicie, że dostaniemy jakieś wsparcie? – spytał O'Connor.

– Nie zdążą na czas – odparł Elden. – Forg nas wystawił.

– Ale dlaczego? – spytał Reece.

– Nie wiem – odpowiedział Thor i wyjechał swym koniem przed szereg – ale mam złe przeczucie, że to ma coś wspólnego ze mną. Sądzę, że ktoś chce mnie koniecznie widzieć martwym.

Thor poczuł, jak pozostali odwrócili się i spojrzeli na niego.

– Dlaczego? – spytał Reece.

Thor wzruszył ramionami. Nie wiedział, ale podejrzewał, że chodziło tu o te wszystkie machinacje związane z królewskim dworem, z morderstwem MacGila. Najprawdopodobniej była to sprawka Garetha. Być może postrzegał go, jako zagrożenie.

Thor czuł się okropnie ze świadomością, że narażał życie towarzyszy broni, jednakże w tej chwili nic nie mógł na to poradzić. Mógł jedynie spróbować ich obronić.

Miał już dość czekania. Wydał z siebie okrzyk i pogonił konia obcasami, który ruszył galopem i wyrwał się przed wszystkich, szarżując. Nie miał zamiaru czekać w miejscu na McCloudów, na swoją śmierć. Chciał przyjąć na siebie pierwsze ciosy, a może nawet zaoszczędzić kilku swoim kompanom

i dać im szansę na ucieczkę, gdyby akurat na to przyszła im ochota. Jeśli to tu czekał go koniec, zamierzał powitać go bez strachu i z honorem.

Cały trzęsąc się w środku, jednak nie okazując tego na zewnątrz, oddalał się coraz bardziej od pozostałych, szarżując w dół naprzeciw nacierającej armii. Krohn gnał tuż obok, nie odstając ani na krok.

Usłyszał za sobą swoich kompanów, którzy ruszyli stępą chcąc do niego dołączyć. Galopowali niecałe dwadzieścia jardów za nim, wznosząc bojowe okrzyki. Thor jechał cały czas na przedzie, a świadomość, że miał ich wsparcie dodała mu otuchy.

Thor zobaczył nagle, jak oddział wojowników wroga, około pięćdziesięciu mężczyzn, oddzielił się od reszty i poszarżował mu na spotkanie. Pozostało im jakieś sto jardów i szybko pokonywali ten odcinek. Thor użył swej procy, umieścił na niej kamień, wycelował i wypuścił. Za cel obrał wojownika jadącego na czele oddziału, wielkiego mężczyznę noszącego srebrny napierśnik. Trafił idealnie w podstawę jego szyi, między płytami zbroi. Wojownik zwał się z konia na ziemię przed wszystkimi.

Upadając, pociągnął za sobą swego rumaka i sprawił, że nadjeżdżające za nim konie wpadły na niego, zrzucając z siebie jeźdźców twarzą w przód na ziemię.

Zanim zdążyli zareagować, Thor nałożył kolejny kamień, odchylił się i ponownie wystrzelił z procy. I tym razem trafił do celu. Pocisk uderzył jednego z jadących na przedzie wojowników w ciemną odślonioną uniesioną do góry osłoną i zwał go w bok z konia na kilku innych wojowników, którzy niczym domino poupadali za nim ze swych wierzchowców.

W tym momencie przeleciały tuż przy jego głowie najpierw oszczep, potem włócznia, młot i topór. Thor uzmysłowił sobie, że jego bracia legioniści przyszli mu w sukurs. Oni również nie chybili. Ich broń ze śmiertelną precyzją trafiła w kilku kolejnych wojowników McClouda, którzy padając z koni, uderzali o innych i pociągali ze sobą na ziemię.

Thor poczuł radość na widok tak wielu żołnierzy McClouda, których udało im się powalić na ziemię od bezpośredniego uderzenia bronią, w większości jednak dzięki przewracającym się koniom. Cały, pięćdziesięcioosobowy oddział leżał na ziemi w wielkim tumanie kurzu.

Armia McClouda była jednak potęgą i teraz przyszła jej kolej na kontratak. Kiedy Thor podjechał na trzydzieści jardów, w jego kierunku poleciała różnoraka broń. Rzucany młot poszybował wprost na jego twarz, jednak w ostatniej chwili Thor zrobił unik i tylko usłyszał świst przelatującego tuż obok żelaza. O cal od jego głowy. Zaraz potem nadleciała włócznia i Thor uchylił się w drugą stronę, czując jak jej czubek otarł się o jego zbroję. I tym razem miał szczęście. Thor spostrzegł lecący w kierunku twarzy topór, uniósł tarczę i zablokował go. Topór wbił się w tarczę, więc Thor sięgnął po niego, wyciągnął i rzucił z powrotem w napastnika. Topór trafił dokładnie w jego klatkę piersiową, przebiwszy zbroję; mężczyzna wrzasnął, po czym osunął się z konia martwy.

Thor poszarżował dalej, w sam środek słoczzonej armii, morza wojowników, gotowy na śmierć. Wydał z siebie potężny bojowy okrzyk i uniósł miecz nad głowę. Kilkanaście jardów za nim, jego towarzysze broni postąpili podobnie.

Starli się z wrogiem przy akompaniamencie potężnego szczęku broni. Natarł na niego wielki, wyrośnięty wojownik. Uniósł oburącz topór i uderzył w głowę Thora. Ten jednak zdołał uniknąć ciosu, uchyliwszy się, i kiedy ostrze przeleciało tuż obok, rozharatał brzuch wroga swoim mieczem. Mężczyzna ryknął i osunął się z konia. Spadając, wypuścił z rąk wojenny topór, który uderzył w jego konia. Rumak zachrapał i podskoczył, zrzucając z siebie jeźdźcę na innych.

Thor kontynuował natarcie wprost na gęsto zbity tłum wojowników McClouda, setki mężczyzn. Wycinał sobie drogę, parując uderzenia ich mieczy, toporów, maczug, blokując je swą tarczą, oddając cios za ciosem, robiąc uniki i wykręty, wciąż galopując. Był dla nich zbyt szybki, zbyt zwinny. Nie spodziewali się tego. Ta wielka armia nie była w stanie manewrować wystarczająco szybko, by go powstrzymać.

Wokół niego rozbrzmiewał metaliczny brzęk uderzanej broni. Zewsząd leciały na niego ciosy, które blokował raz mieczem, raz tarczą. Nie był w stanie jednak powstrzymać ich wszystkich. Jakiś

miecz zadrasnął go w bark i Thor zawył z bólu, kiedy popłynęła krew. Na szczęście rana była powierzchowna i nie powstrzymała go przed dalszą walką. Oddawał cios za cios.

Walczył sam otoczony wojownikami McClouda. Z każdą chwilą czuł, jak ich ciosy stają się słabsze. To reszta jego oddziału dotarła w końcu do niego. Szczęk uderzanych broni stawał się z każdą chwilą coraz głośniejszy. Wojownicy McClouda nacierali na młodych legionistów, ich miecze uderzały o tarcze, włócznie raniły ich wierzchowce, ich oszczepy osuwały się po ich zbroi. Walczyli ze sobą we wszelki możliwy sposób. Wrzaski padały z obu stron.

Legioniści mieli tę przewagę, że stanowili niewielką i zwinnie poruszającą się siłę bojową, ich dziesiątka wewnątrz wielkiej, powoli płynącej armii. Wykorzystywali to, że nie wszyscy żołnierze McClouda mogli dotrzeć do nich w tym samym czasie; Thor walczył z dwoma, trzema wojownikami na raz. Jednak nie więcej. A jego bracia walczący za jego plecami upewniali się, żeby nie został zaatakowany od tyłu.

Jakiś wojownik wyczuł moment nieuwagi Thora i machnął cepem, celując w głowę. Wówczas jednak pojawił się Krohn. Warknął i skoczył na wojownika, zacisnął zęby na jego nadgarstku i rozerwał go. Krew trysnęła w każdym kierunku, zmuszając wojownika do zmiany kąta uderzenia cepu dokładnie w chwili, kiedy ten miał już uderzyć i zmiażdżyć głowę Thora.

Wszystko wydawało się jedną wielką plamą. Thor walczył, zadawał ciosy i parował te padające na niego z każdej strony. Wykorzystywał każdą nabytą umiejętność, by bronić, atakować, chronić swych braci i siebie. Instynktownie przestawił się na tryb Rytułu, nieustannego treningu, odpierania ataku z każdej strony, w każdej możliwej sytuacji. Otrzymał solidne wyszkolenie, dzięki czemu czuł, że da sobie teraz radę. Czuł nieustanną obecność swego strachu, jednak potrafił już nad nim zapanować.

W miarę, jak jego walka przedłużała się w czasie, czuł, że jego ramiona robią się ociężałe, a jego barki coraz bardziej zmęczone i wtedy przyszły mu na myśl słowa Kolka:

Wasz wróg nigdy nie będzie walczył na waszych warunkach. Będzie walczył według swojego zamysłu. Wojna dla was oznacza to samo dla przeciwnej strony.

Thor zauważył nagle, jak jakiś niski, barczysty wojownik uniósł oburącz w górę nabijany kolcami łańcuch i zamachnął się nim celując w potylicę Reece'a. Reece nie zauważył tego; od śmierci dzieliła go jedna chwila.

Thor skoczył z konia wprost na wojownika i zaatakował go zanim ten zdołał wypuścić łańcuch w powietrze. Obaj wylądowali twardo na ziemi, wzbijając tumany kurzu. Pozbawiony uderzeniem tchu Thor poturlał się kilka razy z wojownikiem po ziemi, pośród rozdeptujących wszystko końskich kopyt. Zaczął mocować się z nim tak, jak leżeli i nagle jego przeciwnik wzniósł kciuki, zamierzając wydłubać Thorowi oczy. W tym momencie jednak dał się słyszeć pisk i z nieba runęła ku nim Estopheles. Wbiła szpony w oczy wojownika tuż przed tym, zanim zdołał wyrzucić krzywdę Thorowi. Mężczyzna wrzasnął i przycisnął dłonie do twarzy, a Thor zdzielił go łokciem i zwałił z siebie.

Już miał cieszyć się ze zwycięstwa, kiedy poczuł mocne kopnięcie w brzuch, które posłało go z powrotem na plecy. Podniósł wzrok i zobaczył, jak jakiś wojownik podnosi oburącz wojenny topór i celuje w jego serce.

Thor sturlał się na bok i topór przeleciał z gwizdem obok niego, zakopując się w ziemi aż po rękkojeść. Thor uświadomił sobie, że niechybnie uniknął właśnie śmierci.

Krohn skoczył na mężczyznę i zatopił kły w jego łokciu. Wojownik wygiął się i uderzył kota pięścią raz i drugi. Krohn jednak nie puścił. Warczał i walczył, aż odgryzł jego przedramię. Mężczyzna zawył i upadł na ziemię.

W tym momencie podbiegł inny wojownik z zamiarem rozplątania zwierzęcia mieczem na dwoje, jednak Thor przyturlał się do kota ze swą tarczą i zablokował uderzenie. Zatrząsł się od siły ciosu, ale ocalił życie Krohna. Klęcząc przy nim, odsłonił się jednak na atak wroga. Wykorzystał to

jakiś wojownik i najechał na niego koniem, przygniatając twarzą do ziemi. Twarde kopyta końskie miażdżyły jego ciało, czuł, jakby łamały każdą jego kość.

Od razu podskoczyło do niego kilku wojowników McClouda, otoczyli go i zaczęli zacieśniać krąg.

Thor zorientował się, że był na straconej pozycji. Dałby wszystko, by znowu znaleźć się na swym koniu. Leżąc na ziemi z dzwoniącym bólem głowy, kątem oka dostrzegł, jak pozostali legioniści walczyli zaciekle, mimo to ustępując powoli wrogowi. Jeden z nich, chłopiec, którego Thor nie znał, wydał z siebie nagle przenikliwy okrzyk. Jakiś wojownik przebił jego pierś mieczem i chłopiec osunął się na ziemię nieżywy.

Inny legionista, chłopiec, którego Thor również nie znał, skoczył mu na ratunek i zabił wojownika, zatopiwszy w nim ostrze swej włóczni. W tej samej chwili jednak, inny żołnierz podjechał od jego tyłu i wbił mu w szyję swój sztylet. Chłopiec wrzasnął i padł na ziemię martwy.

Thor odwrócił się i zauważył pół tuzina żołnierzy, którzy zamierzali się już na niego. Jeden wzniosł miecz i zaczął opuszczać go w stronę głowy Thora, ten jednak zablokował uderzenie wzniesioną w porę tarczą. Odgłos uderzenia rozbrzmiał głośno w jego uszach. Wtedy jednak inny żołnierz wybił kopniakiem tarczę z ręki Thora.

Trzeci napastnik stanął na jego nadgarstku, przyduszając go do ziemi.

Czwarty atakujący stanął nad nim i wzniosł swą włócznię z zamiarem przebicia serca Thora na wylot.

Thor usłyszał nagle potężne warknięcie. To Krohn skoczył na wojownika, popchnął go w tył i przygwoździł do ziemi. Inny wojownik jednak podszedł i jednym, mocnym machnięciem maczugi zmiotł kota ze swego towarzysza tak, że Krohn poleciał w powietrze z piskiem i wylądował bezwładnie grzbietem na ziemi.

Inny wojownik podszedł do Thora i uniósł nad głowę trójząb. Spojrzał na niego gniewnie. Tym razem nikt nie był w stanie mu przeszkodzić. Przygotował się do zadania ostatecznego ciosu. Thor leżał przygwożdżony do podłoża, bezradny. Nie mógł oprzeć się myśli, że oto nadszedł jego koniec.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Gwen klęczała przy Godfreyu w przyprawiającej o klaustrofobię chacie, tuż obok Illepry, mając już dość tego widoku. Spędziła długie godziny, przysłuchując się pojękiwaniu brata, obserwując twarz Illepry, która z każdą chwilą robiła się coraz bardziej ponura, jakby zapowiadała niechybną śmierć Godfrey'a. Będąc przy nim, czuła się jednocześnie bezsilna. Czuła, że musi coś zrobić. Cokolwiek.

Nękało ją poczucie winy, ale też obawa o życie Godfrey'a – a przede wszystkim o życie Thora. Wyobrażała sobie, jak szarżuje, wpada w pułapkę zastawioną przez Gareth'a i umiera i nie mogła pozbyć się tego obrazu z umysłu. Czuła, że musi jakoś mu pomóc. Wariowała od siedzenia tu, w tej chacie.

Nagle wstała na nogi i przeszła przez izbę.

– A dokąd to? – spytała Illepra ochryplym od modlitewnych przyspiewek głosem.

Gwen odwróciła się w jej stronę.

– Wkrótce wrócę – odparła. – Muszę coś sprawdzić.

Otworzyła drzwi i wybiegła przez nie na oświetlony zachodzącym słońcem ganek. Zmrużyła powieki na widok pokrytego smugami czerwieni i fioletu nieba i zachodzącego drugiego słońca, które wisiało nad horyzontem jak zielona kula. Akorth i Fulton stali przed chatą na straży. Podskoczyli na jej widok i spojrzeli na nią z niepokojem.

– Przeżyje? – spytał Akorth.

– Nie wiem – odparła Gwen. – Zostańcie tu na straży.

– Gdzie idziesz, pani? – spytał Fulton.

Kiedy spoglądała na krwistoczerwone niebo i poczuła coś nieziemskiego w powietrzu, przysła jej na myśl pewna rzecz. Był ktoś, jeden człowiek, który być może mógł pomóc.

Argon.

Był jedynym, któremu mogła zaufać, który obdarzył miłością Thora i pozostał lojalny wobec jej ojca; jedynym, który posiadał moc, dzięki której w jakiś sposób mógł teraz pomóc.

– Muszę odszukać pewną wyjątkową osobę – odparła.

Odwróciła się i pospiesznym krokiem zaczęła odchodzić. Wkrótce już biegła, odtwarzając w pamięci drogę do chaty Argona.

Nie była tam od lat, od swego dzieciństwa, ale pamiętała, że mieszkał wysoko na gołej, pokrytej skałami równinie. Biegła wciąż, a wokół niej teren robił się coraz bardziej opustoszały, wietrzny; trawa ustąpiła miejsca otoczakom, te z kolei skałom. Wiatr zawodził przeciągle, a krajobraz stał się niesamowity; wydawało się jej, że kroczy po powierzchni jakiejś gwiazdy.

W końcu dotarła do chaty Argona. Pozbawiona tchu załomotała do drzwi. Nie widziała nigdzie żadnej klamki, czy uchwyty, których mogłaby teraz użyć. Wiedziała jednak, że to było to miejsce.

– Argonie! – wrzasnęła. – To ja! Córką MacGila! Rozkazuję ci! Wpuść mnie!

Waliła w drzwi nieprzerwanie, jednak jedyną odpowiedzią jaką usłyszała, było wycie wiatru.

W końcu rozplakała się. Była wykończona. I bezradna jak nigdy wcześniej. Czuła w sobie pustkę, jakby nie miała dokąd iść.

Słońce zatoneło za horyzontem, a jego krwistoczerwona poświata ustąpiła z wolna miejsca zmierzchowi. Gwen odwróciła się i zaczęła schodzić ze wznesienia. Starła z policzków łzy. Szła rozmyślając usilnie, dokąd miałyby się teraz udać.

– Ojczy, proszę – powiedziała na głos, zamknawszy oczy. – Daj jakiś znak. Wskaż drogę. Pokaż, co mam teraz uczynić. Proszę, nie pozwól dziś umrzeć swemu synowi. Nie pozwól też, by Thor umarł. Jeśli mnie kochasz, odpowiedz.

Szła w ciszy nasłuchując wiatru, kiedy nagle olśniło ją

Jezioro. Jezioro Smutku.

Oczywiście. To tam szli wszyscy wznosić modły za kogoś, kogo zmogła śmiertelna choroba. Było to niewielkie, nieskazitelne jezioro pośrodku Czerwonej Puszczy, otoczone strzelistymi drzewami, które sięgały do nieba. W przekonaniu wszystkich było to miejsce święte.

Dziękuję ojcie, za to, że mi odpowiedziałeś, pomyślała Gwen.

Czuła jego obecność bardziej niż kiedykolwiek. Zerwała się do biegu w kierunku Czerwonej Puszczy, nad jezioro, które wysłucha jej żalów.

*

Uklękła na brzegu Jeziora Smutku. Kolana oparła na sośninie okalającej jezioro niczym pierścien i spojrzała na jego zastygłą w bezruchu wodę: tak spokojną, jakiej Gwen jeszcze w życiu nie widziała. W jej lustrze zobaczyła wschodzący na nieboskłon księżyc. Błyszczał w pełni, ukazując się w całej krasie. Zachodzące drugie słońce i wschodzący już księżyc pograżyły Krąg w świetle zmierzchu i w księżycowej poświacie. Słońce i księżyc odbijały się równocześnie po przeciwległych stronach jeziora, nadając tej chwili niezwyklej świętości. Jakby stanęła przed oknem, przed którym z jednej strony kończył się dzień, a z drugiej dopiero się zaczynał. Wszystko było możliwe o tej świętej porze, w tym świętym miejscu.

Gwen klęczała na brzegu, płakała i modliła się ze wszystkich sił. Wydarzenia kilku ostatnich dni dały jej mocno w kość i teraz wyrzucała to wszystko z siebie. Modliła się o brata, ale przede wszystkim o Thora. Nie mogła znieść myśli, że może stracić ich obojgu tej nocy, że zostanie sama, mając do towarzystwa jedynie Garetha. Nie mogła znieść myśli, że wywiozą ją gdzieś i wydadzą za jakiegoś barbarzyńcę. Miała wrażenie, że jej całe życie wali się wkoło. Musiała poznać kilka odpowiedzi. Ważniejsze jednak było odnaleźć nadzieję.

Wiele osób w całym królestwie wznosiło modły do boga jezior, boga lasów, gór, czy też wiatru – ale Gwen nie wierzyła w nich. Podobnie jak Thor, przeciwstawiała się tym wierzeniom. Była zwolenniczką głębokiej wiary w jednego boga, jeden byt, który kontrolował cały wszechświat. Do tego boga się teraz modliła.

Proszę, Boże. Zwróć mi Thora. Niech wyjdzie z bitwy cały i zdrow. Niech odnajdzie drogę z pułapki. Pozwól żyć Godfreyowi. I chroń mnie – nie pozwól, by mnie stąd wywieziono, wydano za tego dzikusa. Zrobię wszystko, co chcesz. Daj mi jedynie jakiś znak. Pokaż, czego ode mnie oczekujesz.

Klęczała jeszcze przez długi czas, słysząc jedynie zawodzenie wiatru pośród nieskończone wysokich sosen Czerwonej Puszczy. Słuchała delikatnie trzeszczących gałęzi, kołyszących się nad jej głową. Obserwowała, jak sosnowe igły opadały z drzew prosto do wody.

– Uważaj, o co się modlisz – usłyszała nagle.

Odwróciła się gwałtownie, zaskoczona czyjąś obecnością. Przeraziłaby się z pewnością, gdyby nie to, że rozpoznała ten głos niemal natychmiast – sędziwy, starszy niż drzewa wokoło, niż sama ziemia. Jej serce zabiło mocniej z radości, kiedy uświadomiła sobie, kto stał obok.

Odwróciła się i ujrzała go nad sobą: w białej pelerynie z kapturem, z przejrzystymi oczyma, którymi prześwietlał ją na wskroś, jakby przyglądał się jej duszy. Trzymał swoją laskę rozświetloną światłem zachodzącego słońca i wschodzącego księżyca.

Argon.

Wstała i zmierzyła go wzrokiem.

– Szukałam cię – powiedziała. – Byłam przy twej chacie. Słyszałeś, jak pukałam?

– Słyszę wszystko – odparł tajemniczo.

Zawahała się i zaczęła zastanawiać. Jego twarz pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu.

– Powiedz, co mam zrobić – powiedziała. – Zrobię wszystko. Proszę, nie pozwól, by Thor umarł. Nie możesz pozwolić mu umrzeć!

Podeszła bliżej i z błagalnym wzrokiem chwyciła jego rękę. Kiedy go dotknęła, poczuła, jakby sparzyła się ogniem, który spłynął z jego ręki i objął jej dłoń. Cofnęła ją szybko, przytłoczona energią płynącą z druida.

Argon westchnął i odwrócił się. Podeszedł kilka kroków do jeziora. Stał tam i utkwiał wzrok w powierzchni wody. Jego oczy odbijały padające tam światło.

Podeszła do niego i stojąc w ciszy przez długą chwilę, czekała, aż będzie gotów przemówić.

– Można zmienić czyjeś przeznaczenie – powiedział – ale cena za to jest wysoka. Chcesz ocalić czyjeś życie. To szlachetny uczynek. Dwóch żyć jednak nie ocalisz. Będziesz musiała wybrać.

Odwrócił się i spojrzał na nią.

– Czy chcesz, by dzisiaj noc przeżył Thor, czy może twój brat? Jeden z nich musi umrzeć. To już przesądzone.

Przeraziło ją to pytanie.

– Cóż to za wybór? – spytała. – Oszczędzając jednego, skazuję drugiego.

– Nie – odparł. – Im obu dziś śmierć pisana. Przykro mi. Lecz taki ich los.

Gwen czuła się tak, jakby ktoś zatopił w niej sztylet. Obaj mają umrzeć? Zbyt okropna była ta myśl, by ją sobie wyobrazić. Czy los mógł naprawdę być aż tak okrutny?

– Nie mogę wybrać jednego kosztem drugiego – powiedziała w końcu słabym głosem. Moja miłość do Thora jest oczywiście silniejsza. Lecz Godfrey to moje ciało i krew. Nie mogę znieść myśli, że jeden umrze na korzyść tego drugiego. I nie sądzę, żeby spodobało się to któremukolwiek z ich dwójki.

– W takim razie umrą obaj – odparł Argon.

Gwen poczuła paniczny strach.

– Czekaj! – zawołała, kiedy on zaczął się już odwracać.

Spojrzał na nią.

– A co ze mną? – spytała. – Czy ja mogę umrzeć zamiast nich? Czy to możliwe? Czy mogą obaj przeżyć, gdy ja umrę?

Argon wpatrywał się w nią przez bardzo długą chwilę, jakby wchłaniając całą jej istotę.

– Masz czyste serce – powiedział. – Najczystsze ze wszystkich MacGilów. Twój ojciec dokonał mądrego wyboru. Naprawdę mądrego...

Jego głos stawał się niewyraźny. Wpatrywał się w jej oczy. Poczuła skrępowanie, ale nie śmiała odwrócić wzroku.

– Ze względu na twój wybór, na twoje poświęcenie tej nocy – powiedział Argon – przeznaczenie wysłucha twych prośb. Thor przeżyje. Twój brat również. I ty także. Jednak niewielka częśćka twego istnienia zostanie ci odebrana. Pamiętaj, że zawsze jest jakaś cena. Umrzesz częściowo w zamian za życie ich obydwu.

– Co to znaczy? – spytała zdjęta strachem.

– Wszystko ma swoją cenę – odpowiedział. – Masz wybór. Wolisz jej nie zapłacić?

Gwen zebrała się w sobie.

– Dla Thora zrobię wszystko. I dla mojej rodziny.

Argon świdrował ją wzrokiem.

– Thor ma przed sobą wspaniały los – powiedział Argon. – Jednak los może ulec zmianie. Nasze przeznaczenie zostało spisane w gwiazdach. Jednakże kontroluje je Bóg. Bóg może je zmienić. Thor miał umrzeć tej nocy. Będzie żył tylko dzięki tobie. Zapłacisz za to cenę. A będzie ona wysoka.

Gwen chciała dowiedzieć się jeszcze czegoś i sięgnęła ręką w stronę Argona. W tym momencie rozbłysnął przed nią snop światła i Argon zniknął.

Gwen obróciła się szukając go wszędzie, lecz nigdzie go nie widziała.

W końcu odwróciła się i spojrzała na jezioro, tak spokojne, jakby nic się przed chwilą nie wydarzyło. Dostrzegła swoje odbicie, tak bardzo odległe. Przepełniała ją wdzięczność oraz, w końcu, spokój. Nie mogła jednak równocześnie pozbyć się obawy o swoją przyszłość. Próbowwała usilnie

wyrzucić z głowy te myśli, lecz cały czas zastanawiała się: jaką cenę przyjdzie jej zapłacić za życie Thora?

ROZDZIAŁ ÓSMY

Thor leżał na ziemi pośrodku bitewnego pola, przygwożdżony do ziemi przez żołnierzy McClouda, bezradny, i słuchał dobiegających zewsząd odgłosów walki: krzyków i jęków konających ludzi i rżenie zranionych koni. Zachodzące słońce i wschodzący księżyc – w pełni tak wyraźny, jakiego Thor jeszcze nigdy wcześniej nie widział – nagle zostały przesłonięte przez wielkiego wojownika, który podszedł i wzniosł wysoko w powietrze swój trójząb, przygotowując się do zadania śmiertelnego ciosu. Thor wiedział, że oto nadeszła jego ostatnia chwila.

Zamknął oczy, przygotowując się na śmierć. Nie czuł strachu. Jedynie wyrzuty sumienia. Chciał pożyć trochę dłużej; chciał odkryć, kim jest, jakie jest jego przeznaczenie, ale przede wszystkim chciał spędzić więcej czasu z Gwen.

Czuł, że taka śmierć była niesprawiedliwa. Nie tutaj miał umrzeć. I nie w ten sposób. Nie dziś. Jego czas jeszcze nie nadszedł. Czuł, że nie tak miało się to odbyć. Nie był jeszcze gotowy.

Nagle poczuł, jak coś w nim wzbiera: jakaś zaciętość, dzikość, siła niepodobna do żadnej mu znanej. Jego ciało przeszył dreszcz, który rozlał się żarem od stóp przez nogi, tors, ramiona aż po czubki palców. Emanował palącą energią, mocą, którą ledwie pojmował. Ku swemu zdziwieniu zaryczał dziko, niczym smok powstający z ziemskich otchłani.

Poczuł w sobie siłę dziesięciu mężczyzn, wyrwał się przytrzymującym go wojownikom i skoczył na nogi. Zanim żołnierz z trójzębem zdążył opuścić swą broń, Thor zbliżył się do niego i czołem staranował mu twarz, łamiąc nos, po czym kopnął go z taką siłą, że ten poleciał w tył, niczym armatnia kula, zwalając z nóg dziesięciu żołnierzy.

Thor wrzasnął ze świeżo obudzonej wściekłości, chwycił jednego mężczyznę, uniósł wysoko nad głowę i cisnął nim w tłum, zwalając kolejny tuzin walczących niczym kęgle. Potem wyrwał któremuś żołnierzowi cep z długim na dziesięć stóp łańcuchem, zaczął machać nim w powietrzu, aż wszędzie dokoła rozległy się wrzaski wojowników, którzy znaleźli się akurat w jego zasięgu; dziesiątki mężczyzn powalonych na ziemię.

Thor czuł, jak moc nieustannie przepływa przez jego ciało i zdał się całkowicie na nią. Kilku kolejnych wojowników natarło na niego. Thor uniósł dłoń i ze zdziwieniem poczuł jakieś mrowienie. Zaraz potem zaczęła wydobywać się z niej chłodna mgła. Wojownicy zatrzymali się nagle pokryci warstwą lodu. Stali jak wrośnięci w ziemię, nieruchome bryły lodu.

Thor skierował dłonie w różnych kierunkach, zamrażając po kolei wszystkich walczących. Wkrótce wyglądało to tak, jakby całe bitewne pole pokryło się lodowymi skałami.

Thor odwrócił się w kierunku towarzyszy broni. Zauważył też kilku żołnierzy, którzy mieli już zadać śmierć Reece'owi, O'Connorowi, Eldenowi i bliźniakom. Wzniósł dłoń w ich stronę i zamroził atakujących, ocalając tym samym życie swych braci. Odwrócili się i spojrzeli na niego oczyma pełnymi wdzięczności i poczucia ulgi.

Wyczyny Thora wkrótce zostały zauważone przez armię McClouda i zaczęto podchodzić do niego z większą ostrożnością. Utworzono wokół niego bezpieczny korowód, ale żaden z wojowników nie podszedł bliżej zdjęty strachem na widok dziesiątek towarzyszy zamienionych w lód, zamrożonych w miejscu tak, jak stali.

Wówczas rozległ się ryk i przed szereg wystąpił mężczyzna pięciokrotnie większy od pozostałych. Musiał mieć ze czternaście stóp wzrostu i dźwigał potężny miecz. Thor wzniosł dłoń, by i jego zamrozić – ale w jego przypadku to nie zadziałało. Pacnął jedynie ręką w mgłę i odtrącił na bok niczym jakiegoś natrętnego owada. I wciąż szedł w kierunku Thora. Thor zaczął zdawać sobie sprawę, że jego moce nie były jednak doskonałe; był zaskoczony i nie rozumiał, dlaczego nie był wystarczająco silny, aby powstrzymać tego mężczyznę.

Olbrzym dopadł Thora w trzech długich susach, zaskoczywszy go swoją zwinnością, i uderzył pięścią w twarz posyłając w powietrze.

Thor wylądował twardo na ziemi. Nie zdążył się jeszcze odwrócić, a olbrzym już był na nim. Chwycił go dwoma rękoma i uniósł nad głowę. Cisnął nim w dal przy akompaniamencie wiwatującej armii McClouda. Thor przeleciał w powietrzu dobrych dwadzieścia stóp, wylądował twardo na ziemi i potoczył się kilka razy. Poczuł, jakby wszystkie kości nagle mu popękały.

Podniósł wzrok i zobaczył zbliżającego się olbrzyma. Tym razem nie mógł już nic zrobić. Jakikolwiek moce posiadał, wyczerpały się.

Zamknął oczy.

Proszę Boże, pomóż mi.

Kiedy olbrzym zbliżał się do niego, Thor usłyszał nagle ciche brzęczenie, najpierw w swej głowie. Z każdą chwilą robiło się coraz głośniejsze i wkrótce czuł je już wokół siebie, w całym wszechświecie. Poczuł się dziwnie, jak nigdy dotąd; poczuł jedność z otaczającym go powietrzem, kołyszącymi się drzewami, poruszającymi się na wietrze źdźbłami traw. Wyczuwał to brzęczenie między każdą rzeczą, każdym stworzeniem. Uniósł rękę i poczuł, jakby zagarniał tą więź, zbierał ze wszystkich zakamarków wszechświata i poddawał swojej woli.

Otworzył oczy, słysząc nad sobą to niesamowite brzęczenie i ku swemu zaskoczeniu zobaczył, jak tuż przy nim materializuje się z powietrza wielki rój pszczoł. Nadlatywały ze wszystkich stron i kiedy Thor wzniosł ręce, czuł, że może nimi kierować. Nie miał pojęcia, jak to było możliwe. Wiedział jednak, że było.

Skierował ręce w stronę olbrzyma. Ogromny rój pszczoł przyćmił niebo, zanurkował i pochłonął olbrzyma w całości. Wielkolud podniósł ręce do góry i zaczął wymachiwać nimi na wszystkie strony. Później zawył od tysiąca użądleń i upadł na twarz martwy. Ziemia zatrzęsa się od zderzenia z jego wielkim ciałem.

Wtedy Thor skierował dłoń w stronę armii McClouda – w większości żołnierzy dosiadających koni, gapiących się na Thora, obserwujących z szokiem tę scenę. Żołnierze zaczęli odwracać się i uciekać – lecz nie mieli dość czasu na reakcję. Thor machnął dłonią w ich kierunku. Rój pszczoł zerwał się z olbrzyma i zaczął atakować żołnierzy.

Napastnicy wydali z siebie okrzyk przerażenia, po czym jak na komendę zawrócili i zaczęli uciekać w popłochu, żądleni przez niezliczony rój pszczoł. Wkrótce pole bitwy opustoszało. Cała armia znikła. Niektórzy żołnierze nie zdołali uciec na czas i teraz spadali z wierzchowców, zasilając zastępy martwych ciał na ziemi.

Ocalali wojownicy odjeżdżali w pełnym galopie, ścigani przez pszczoły aż po horyzont. Donośne brzęczenie zlało się w jeden zgłęb z odgłosem dudniących kopyt i okrzykami strachu wojowników.

Thor osłupiał: w kilka minut pole bitwy opustoszało i zapanował kompletny spokój. Słyszał jedynie zawodzenie rannych, leżących w nierównych stertach, żołnierzy McClouda. Rozejrzał się dokoła i zobaczył swoich przyjaciół. Byli wyczerpani i oddychali ciężko. Wyglądali na mocno poobijanych. Odnieśli niewielkie rany, lecz poza tym mieli się dobrze. Poza oczywiście tymi trzema legionistami, których nie znał, a którzy leżeli martwi w niewielkiej odległości.

Nagle usłyszał potężne dudnienie. Odwrócił się i po przeciwnej stronie na horyzoncie dostrzegł szarżującą w ich kierunku armię króla. Zjeżdżała ze wzniesienia z Kendrickiem na czele. Galopowali i w kilka chwil znaleźli się przy Thorze i jego kompanach, jedynych ocalałych na tym poboju.

Thor stał przed nimi w szoku, obserwując, jak Kendrick, Kolk, Brom i inni zeskoczyli z wierzchowców i powoli podeszli do niego. Towarzyszyły im dziesiątki rycerzy Srebrnej Gwardii, wszyscy wspaniali wojownicy królewskiej armii. Zobaczyli, że Thor oraz inni stoją sami, zwycięscy, na krwawym polu bitwy usłanym ciałami żołnierzy McClouda. Widział ich spojrzenia pełne podziwu, szacunku, a nawet trwogi. Widział to w ich oczach. Właśnie tego pragnął przez całe życie.

Właśnie stał się bohaterem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Erec galopował na swym wierzchowcu południowym traktem. Popędzał konia jak nigdy w życiu, próbując ze wszelkich sił omijać ledwie widoczne w nocnym mroku wyboje i dziury. Nie zatrzymał się ani na chwilę od momentu, kiedy dowiedział się o porwaniu Alistair, o jej sprzedaży w niewolę, wywiezieniu do Baluster. Nie mógł przestać obwiniać siebie. Jaki był głupi i naiwny, że zaufał temu oberżyscie, iż ten dotrzyma słowa, że wywiąże się ze swej części umowy i odda mu Alistair po wygranym turnieju. Słowo Ereca znaczyło dla niego tyle, co jego honor i przyjął, że dla innych również było świętością. Popęłnił błąd. A Alistair zapłaciła za to wysoką cenę.

Na myśl o niej serce mu krwawiło. Popędzał konia coraz mocniej, uderzając go w boki obcasami. Ta piękna i wytworna dama najpierw musiała znosić poniżającą pracę dla oberżysty – a teraz została sprzedana w niewolę, na pastwę ni mniej ni więcej tylko handlu nierządem. Sama ta myśl sprawiała, że ogarniał go szal. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że to on za to odpowiadał: gdyby nie pojawił się w jej życiu, nie zaoferował, że zabierze ją stąd, być może oberżyscie w ogóle nie przysłoby do głowy, by ją sprzedać.

Pędził przez noc przy nieustannym akompaniamencie uderzeń kopyt i oddechu konia. Jego wierzchowiec był już porządnie wyczerpany i Erec obawiał się, że wkrótce zajeździ go na śmierć. Do oberży przybył tuż po turnieju. Nie robił żadnej przerwy, by odpocząć. Był w tej chwili tak znużony, wyczerpany, że czuł, jakby za chwilę miał przewrócić się i spaść z siodła. Lecz zmusił się, aby jego oczy pozostały otwarte, by nie zasnąć, kiedy tak jechał w poświacie pełnego księżyca, kierując się cały czas na południe do Baluster.

Przez całe życie słyszał opowieści o Baluster. Nigdy co prawda tam nie był. Miejsce to słynęło z hazardu, opium, nierządu, każdej możliwej do wyobrażenia przywary tego królestwa. To tam przybywali tłumnie wszyscy niezadowoleni z życia, z każdego zakątka królestwa, by pławić się w każdej znanej człowiekowi przyjemności. To miejsce było całkowitym zaprzeczeniem tego, kim był. Nigdy nie uprawiał hazardu. Pił sporadycznie, przedkładając nad to ćwiczenia i nabieranie wprawy w swych umiejętnościach. Nie potrafił zrozumieć ludzi, którzy ulegali lenistwu i oddawali się hulankom tak, jak robili to bywalcy Baluster. Pobyt w tym miejscu nie wróżył nic dobrego. Z tego mogło wynikać tylko samo zło. Jego serce truchlało na myśl o tym, że ona tu przebywa. Wiedział, że musi szybko ją uratować, zabrać daleko stąd, zanim ktoś wyrządzi jej krzywdę.

Księżyc schylił się już nad horyzontem, a droga stała się szersza i nosiła coraz więcej śladów podróży, kiedy Erec dostrzegł pierwsze oznaki miasta: niezliczone pochodnie oświetlające miejskie mury. Wyglądało to tak, jakby całe miasto zamieniło się w jedno wielkie ognisko. Erec nie był tym zdziwiony: chodziły słuchy, że jego mieszkańcy nie kładli się spać aż do rana.

Erec pogonił jeszcze bardziej swego wierzchowca. Miasto było coraz bliżej i bliżej, aż w końcu przejechał po drewnianym moście oświetlonym z każdej strony światłem pochodni. Drzemiaczy wartownik podskoczył na nogi kiedy Erec wpadł na most i przejechał koło niego. Strażnik zawołał: – HEJ!

Erec nawet nie zwolnił. Gdyby ten mężczyzna nabrał pewności siebie i zaczął go gonić – w co Erec wątpił i to wielce – wówczas upewniłby się, że byłaby to ostatnia rzecz, jaką zrobił w swoim życiu.

Przełopował przez wielkie otwarte bramy rozłożonego na planie kwadratu miasta, otoczonego ze wszystkich stron niskim, antycznym, kamiennym murem. Przejechał wąskimi uliczkami miasta rozświetlonymi gęsto pozatykanymi pochodniami. Budynki wybudowano blisko siebie, nadając miastu klaustrofobiczny charakter. Ulice wypełniały gęste tłumy ludzi. Wszyscy sprawiali wrażenie podpitych, potykali się co rusz, przekrzykiwali głośno i przepychali – jedna wielka hulanka. Każdy zaś budynek był albo karczmą, albo jaskinią hazardu.

Erec wiedział, że trafił w dobre miejsce. Wyczuwał obecność Alistair gdzieś w pobliżu. Przełknął głośno, mając nadzieję, że się nie spóźnił.

Podjechał do budynku, który wyglądał na obszerny zajazd, położony w centrum miasta. Tłumy ludzi cisnęły się przed wejściem. Erec pomyślał, że było to najlepsze miejsce, by zacząć szukać Alistair.

Zsiadł z konia i wszedł pospiesznie do środka, rozpychając łokciami na boki rozzuchwalonych wypitym alkoholem ludzi. Przedzierał się do karczmarza, który stał na tyłach, na środku pomieszczenia i spisując nazwiska ludzi, brał od nich monety i kierował do poszczególnych pokoi. Był oślisły, na jego twarzy królował udawany uśmiech, pocił się cały i zacierał ręce, licząc uzbierane monety. Spojrzał na Ereca, uśmiechając się sztucznie.

– Pokój, panie? – zapytał. – Czy raczej kobietę?

Erec potrząsnął głową i podszedł do niego bliżej. Chciał, by mężczyzna dobrze go usłyszał.

– Szukam handlarza – powiedział. – Handlarza niewolników. Przejeżdżał tędy dzień lub dwa temu. Z Samarii. Wiózł ze sobą cenny ładunek. Ludzi.

Mężczyzna oblizał wargi.

– Szukasz cennych informacji – odparł mężczyzna. – Mogę ci ich dostarczyć. Ot tak, jak i tych pokoi.

Mężczyzna uniósł dłoń i potarł palcami. Spojrzał na Ereca i uśmiechnął się. Nad górną wargą wystąpił pot.

Erec poczuł obrzydzenie na jego widok, lecz potrzebował informacji i nie chciał tracić więcej czasu. Sięgnął do sakiewki i położył na dłoni mężczyzny złotą monetę.

Oczy karczmarza otwały się szeroko ze zdziwienia.

– Królewskie złoto – zauważył. Był pod dużym wrażeniem.

Zlustrował Ereca spojrzeniem pełnym szacunku i podziwu.

– Przebyłeś zatem całą drogę z Królewskiego Grodu? – zapytał.

– Dość – powiedział Erec. – Ja tu jestem od zadawania pytań. Zapłaciłem ci. A teraz mów: gdzie jest ten handlarz?

Mężczyzna oblizał wargi kilkakrotnie, po czym nachylił się nisko.

– Człowiek, którego szukasz zwie się Erbot. Przejeżdża tędy raz na tydzień. Ze świeżą partią dziewczek. Sprzedaje je temu, kto da najwięcej. Znajdziesz go najpewniej w jego melinie. Jedź tą ulicą do końca. Tam go znajdziesz. Jeśli jednak szukasz jakiejś wartościowej partii, to najpewniej już jej tam nie ma. Jego dziewczki i tak długo nie wytrzymują.

Erec miał już odwrócić się i odejść, kiedy poczuł na swoim nadgarstku uścisk ciepłej, lepkiej dłoni. Spojrzał na karczmarza ze zdziwieniem.

– Jeśli szukasz dziewczki, może spróbujesz jednej z moich? Są równie dobre, co jego i za połowę ceny.

Erec uśmiechnął się do niego szyderczo. Mężczyzna wzbudzał w nim odrazę. Gdyby miał więcej czasu, prawdopodobnie zabiłby go teraz, chociażby dlatego, żeby świat nie musiał więcej go znosić. Zlustrował go jednak wzrokiem i uznał, że nie był wart zachodu.

Erec strząsnął jego rękę i nachylił się nisko.

– Dotknij mnie jeszcze raz – ostrzegł go – a pożałujesz, że kiedykolwiek to zrobiłeś. A teraz cofnij się o dwa kroki, zanim znajdę jakieś wygodne miejsce dla tego oto rapiera w mojej dłoni.

Karczmarz spojrzał w dół oczyma szeroko otwartymi ze strachu i cofnął się o kilka kroków.

Erec odwrócił się i wypadł z izby, rozpychając łokciami na boki klientów, jednym susem pokonawszy podwójne drzwi karczmy. Nigdy jeszcze rodzaj ludzki nie napawał go takim obrzydzeniem.

Wspiął się na konia, który stapał niespokojnie i parskał na jakiegoś pijanego przechodnia. Mężczyzna zerkał akurat na niego – Erec nie miał wątpliwości, że zamierzał spróbować go ukraść. Zastanawiał się, czy nie doszłoby do tego, gdyby akurat nie wrócił. Musiał pamiętać na przyszłość,

żeby baczniej uwiązywać swego wierzchowca. Nie mógł nadziwić się licznym przywarom tego miasta. Pominąwszy to, jego rumak Warkfin był zahartowanym koniem bitewnym i gdyby ktokolwiek chciał go ukraść, ten rozdeptałby go na miazgę.

Erec pogonił kuksańcem Warkfina i pojechał galopem wzdłuż wąskiej ulicy, z wszystkich sił próbując unikać cisnących się ludzi. Była już późna noc, a mimo to wydawało się mu, że ulice z każdą chwilą robią się coraz ciasniejsze, pełne ludzi różnego pochodzenia, mieszejących się ze sobą. Kilku pijaków wydarło się na niego, kiedy przejechał zbyt szybko tuż obok, lecz nie przejął się tym. Czuł, że Alistair jest już blisko i nic nie było w stanie go teraz zatrzymać, nic zanim jej nie odzyska.

Ulicę wieńczył kamienny mur. Ostatni budynek po prawej był kolejną, chylącą się ku ziemi karczmą, ze ścianami z białej gliny i dachem krytym strzechą, której lepsze dni już dawno minęły. Po spojrzeńcach rzucanych mu przez wchodzących i wychodzących ludzi poznał, że dotarł na miejsce.

Zsiadł z konia, przywiązał go porządnie do palika i wtargnął do wewnątrz gospody. I stanął jak wryty, całkiem zaskoczony.

Izba była słabo oświetlona kilkoma migocącymi pochodniami i wygasającym ogniem w kominku w przeciwnym rogu. Wszędzie leżały porzucane niedbale pledy, na których leżało całe mnóstwo ledwie przyodzianych kobiet, przywiązanych grubą liną do siebie i ścian. Wyglądało na to, że wszystkie były pod wpływem narkotyku – wyczuł zapach opium w powietrzu i dostrzegł krążącą między nimi fajkę. Kilku porządnie ubranych mężczyzn przechadzało się dokoła, trącąc i szturchając stopy kobiet, jakby sprawdzali towar przed podjęciem decyzji, przed jego zakupem.

W odległym kącie karczmy, na niewielkim, czerwonym, aksamitnym krześle, siedział mężczyzna. Ubrany był w jedwabne szaty, a z obu stron wystawały łańcuchy, którymi przykuł do siebie kobiety. Za nim stali potężni, umięśnieni mężczyźni. Ich twarze pokrywały blizny. Byli wyżsi i szersi nawet od Erec. Wyglądali na takich, którzy czekają tylko na jakąś okazję, by kogoś zabić.

Erec rozejrzał się i w mig pojął, co tu się dzieje: miał przed sobą gniazdo rozpusty, a te kobiety były do wynajęcia, zaś mężczyzna na krześle był królem tego przybytku, tym, który porwał Alistair – jak zapewne również i pozostałe kobiety. Zdał sobie sprawę, że Alistair mogła tu gdzieś być.

Ruszył jak oszalały przeglądać twarze kobiet w poszukiwaniu tej jedynej. Było tu kilkadziesiąt kobiet – niektóre pozbawione świadomości – a poza tym panował półmrok, więc trudno było tak od razu się rozeznąć. Przyglądał się uważnie każdej twarzy z osobna, chodząc między rzędami kobiet, kiedy nagle wielka łapa smagneła go w tors.

– Płacisz? – usłyszał czyjś szorstki głos.

Erec podniósł wzrok i zobaczył nad sobą potężnego mężczyznę, który spoglądał na niego gniewnie.

– Chcesz popatrzeć na kobiety, to płac – powiedział tubalnym, niskim tonem. – Takie zasady.

Erec popatrzył na niego szyderczo. Czuł, jak wzbiera w nim nienawiść. I wtem, szybciej niż mężczyzna zdążył mrugnąć oczyma, uderzył go nasadą dłoni prosto w przełyk.

Mężczyzna wydał stłumiony okrzyk, otworzył szeroko oczy, po czym upadł na kolana z rękoma na gardle. Erec wziął zamach i łokciem uderzył go w skroń. Mężczyzna upadł na ziemię płasko na twarz.

Erec kontynuował poszukiwania Alistair, chodził między rzędami kobiet i desperacko przyglądał się ich twarzom, lecz jej nie znalazł. Nie było jej tu.

Z mocno walącym sercem podszedł do odległego kąca izby, do tego starszego mężczyzny siedzącego w rogu i baczącego na wszystko tutaj.

– Znalazłeś coś w twoim guście? – zapytał mężczyzna. – Coś, o co chciałbyś się potargować?

– Szukam kobiety – zaczął Erec ostrym, niczym stal tonem, próbując zachować spokój – i powiem to tylko raz. Jest wysoka, ma długie blond włosy i zielono-niebieskie oczy. Ma na imię Alistair. Zabrano ją z Savarii dzień lub dwa temu. Powiedziano mi, że tutaj jest. Czy to prawda?

Mężczyzna potrząsnął głową powoli z uśmiechem na twarzy.

– Obawiam się, że towar, którego szukasz został już sprzedany – powiedział . – Całkiem niezły okaz. Naprawdę masz dobry gust. Wybierz inną, a ja dam ci zniżkę.

Erec popatrzył na niego gniewnie. Czuł roszadającą go wściekłość.

– Kto ją zabrał? – warknął Erec.

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Rany, naprawdę zadurzyłeś się w tej niewolnicy.

– Nie jest niewolnicą – warknął Erec. – To moja *żona*.

Mężczyzna spojrzał na niego zszokowany – po czym nagle odchylił głowę i roześmiał się na głos.

– Twoja żona! A to dobre. Niestety przyjacielu, już nią nie jest. Teraz robi za igraszkę kogoś innego.

Gdy to powiedział, jego twarz pociemniała nagle i nabrała mrocznego wyrazu. Dał znak swoim ludziom i dodał: – Pozbądźcie się stąd tego śmiecia.

Dwaj umięśnieni mężczyźni wystąpili do przodu i z szybkością, która zadziwiła Ereca, rzucili się jednocześnie na niego.

Nie byli jednak świadomi, na kogo się porwali. Erec był szybszy. Zrobił unik i chwycił nadgarstek jednego z atakujących. Wygiął go do tyłu, aż mężczyzna padł plecami na ziemię. Jednocześnie rąbnął łokciem w krtani drugiego draba. Podeszedł i zmiażdżył tchawicę tego, który leżał już na podłodze, pozbawiając go oddechu. Potem nachylił się i staranował głową drugiego z przeciwników, który wciąż trzymał się za szyję. Mężczyzna zważył się z nog ogłuszony ciosem.

Erec przeszedł po leżących, nieprzytomnych mężczyznach w kierunku starszego mężczyzny, który trząsał się razem ze swoim krzesłem. Miał szeroko otwarte oczy ze strachu.

Erec chwycił go za włosy i odchylił głowę do tyłu, po czym przyłożył mu sztylet do krtani.

– Powiedz gdzie ona jest, a ja być może pozwolę ci żyć – warknął.

Mężczyzna zająknął się.

– Powiem ci, gdzie jest, ale to i tak strata czasu – odparł. – Sprzedałem ją możnowładcy, który ma własny oddział rycerzy i mieszka w swoim zamku. To bardzo potężny człowiek, którego zamku nigdy jeszcze nie zdobyto. A poza tym, ma w rezerwie całą armię. Jest bardzo bogaty – jego armia najemników gotowa jest wypełnić każdy rozkaz, o każdej porze. Zatrzymuje przy sobie każdą dziewczkę, którą kupi. Nie ma mowy, żebyś ją oswobodził. Wracaj więc tam, skąd przybyłeś, gdziekolwiek to jest. Ona przepadła.

Erec naparł na ostrze sztyletu, aż pociekła krew, a mężczyzna krzyknął.

– Gdzie on jest, ten możnowładca? – warknął Erec. Tracił już cierpliwość.

– Jego zamek leży na zachód od miasta. Przejedź zachodnią bramą i jedź tak długo, aż skończy się trakt. Wtedy zobaczysz jego zamek. Ale to strata czasu. Zapłacił za nią solidnie – więcej niż była warta.

Erec miał już tego dość. Bez namysłu podciął krtani handlarzowi nierządem, uśmiercając go na miejscu. Krew polała się wszędzie. Mężczyzna opadł na swym siedzisku i znieruchomiał.

Erec spojrzał na niego, na dwóch leżących na podłodze mężczyzn i poczuł odrazę do całego przybytku. Nie mógł uwierzyć, że coś takiego w ogóle istniało.

Zaczął rozcinać sznury więzące kobiety, uwalniać jedną po drugiej. Kilka z nich wstało od razu i pobiegło do drzwi. Wkrótce cała izba wypełniła się tratującymi się nawzajem kobietami, które za wszelką cenę chciały dostać się do drzwi. Niektóre z nich były zbyt odurzone, by iść samodzielnie i inne im pomagały.

– Kimkolwiek jesteś – powiedziała do niego jedna z nich, zatrzymując się na chwilę w drzwiach – dziękuję ci. Gdziekolwiek zmierzasz, niech Bóg cię wspiera.

Erec przyjął całą tę wdzięczność i błogosławieństwo; przeczuwał z niepokojem, że tam, dokąd się udawał, będzie potrzebował wsparcia.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Zaczęło świtać. Poranne słońce wlewało się przez małe okna chaty Illepry i kładło na zamkniętych oczach Gwendolyn, budząc ją z wolna. Pierwsze słońce, mieniające się barwą stonowanej pomarańczy, opromieniło jej twarz i obudziło ją w panującej dokoła ciszy. Zamrugła oczyma, zdezorientowana, zastanawiając się, gdzie jest. Wkrótce uświadomiła coś sobie:

Godfrey.

Gwen zasnęła na wyściółce chaty, na słomianym łóżku obok niego. Illepra spała tuż przy Godfreyu. Ta noc była długa. Godfrey zawodził, przewracał się i wiercił, a Illepra doglądała go bez ustanku. Gwen trwała przy nim, gotowa pomóc najlepiej, jak mogła. Przynosiła mokre okłady, wykręcała z nich wodę, kładła na czole Godfreya, podawała Illeprze zioła i balsamy, o które ustawicznie ją prosiła. Ta noc wydawała się nie mieć końca. Wiele razy słyszała krzyk brata. Była pewna, że umiera. Nie raz wzywał ojca, czym przyprawiał Gwen o dreszcze. Czuła obecność ojca. Czuła jak unosi się nad nimi ciężko. Nie miała pojęcia, czy chciał, aby jego syn przeżył, czy umarł – ich relacje tak często były napięte.

Gwen spędziła noc w chacie, gdyż nie wiedziała, dokąd pójść. W zamku nie czuła się bezpiecznie. Nie pod tym samym dachem z jej bratem. Czuła się za to dobrze tutaj, pod opieką Illepry, z Akorthem i Fultonem stojącymi na zewnątrz na straży. Czuła, że nikt nie wie, gdzie się teraz znajduje i chciała, żeby tak pozostało. Poza tym, polubiła w ostatnich dniach człowieka, którym stał się jej brat. Odkryła w nim kogoś zupełnie sobie obcego. I z bólem znosiła myśl, że właśnie umierał.

Podźwignęła się na nogi i podeszła do brata. Jej serce zaczęło mocno bić. Zastanawiała się, czy jeszcze żyje. Coś jej mówiło, że jeśli Godfrey przebudzi się tego ranka, to przeżyje, a jeśli nie, to będzie już po nim. Illepra podniosła się i również spojrzała na niego. Musiała zasnąć w międzyczasie; Gwen nie mogła jej winić.

Klęknięty obydwie u boku Godfreya, spoglądając na niego w wypełniającym izbę świetle brzasku. Gwen położyła rękę na jego nadgarstku i potrząsnęła nim, a Illepra położyła swoją na jego czole. Zamknęła oczy i odetchnęła – i nagle Godfrey otworzył oczy szeroko. Illepra cofnęła rękę zaskoczona.

Gwen również nie spodziewała się tego. Zdziwiła się, widząc, że Godfrey otworzył oczy. Odwrócił się i spojrzał na nią.

– Godfreyu? – powiedziała.

Zmrużył oczy, zamknął je, po czym znowu otworzył. Potem, ku jej zdziwieniu, podparł się na łokciu i spojrzał na nie obydwie.

– Która godzina? – spytał. – Gdzie ja jestem?

Jego głos brzmiał tak żywo, tak zdrowo. Gwen nigdy nie czuła tak wielkiej ulgi. Uśmiechnęła się szeroko, podobnie jak Illepra.

Gwen zbliżyła się do niego i objęła ramionami. Uściskała go mocno, po czym wyprostowała się.

– Ty żyjesz! – wykrzyknęła.

– Oczywiście, że żyję – powiedział. – Dlaczego miałoby być inaczej? I kim jest ona? – spytał, wskazując głową na Illeprę.

– To kobieta, która uratowała ci życie – odparła Gwen.

– Uratowała życie?

Illepra spuściła wzrok.

– Pomogłam tylko troszeczkę – powiedziała uniżenie.

– Co się stało? – spytał Gwen zdziwiony. – Ostatnie, co pamiętam, to to, że piłem w karczmie, a potem...

– Zostałeś otruty – powiedziała Illepra. – Bardzo rzadką i silną trucizną. Dawno już nie miałam z nią do czynienia. Masz szczęście, że żyjesz. W zasadzie jesteś jedyną znaną mi osobą, która to przeżyła. Ktoś u góry musiał sprawować pieczę nad tobą.

Usłyszawszy te słowa, Gwen poczuła, że kobieta miała rację. Od razu przyszedł jej na myśl ojciec. Słońce zaświeciło mocniej i poczuła jego obecność. Chciał, by Godfrey żył.

– Dobrze ci tak – powiedziała z uśmiechem. – Obiecałeś skończyć z piciem. Zobacz, co z tego wyszło.

Odwrócił się i uśmiechnął do niej. Na jego policzkach dostrzegła oznaki powracającego życia i poczuła wielką ulgę. Wrócił do niej, do świata.

– Ocaliłeś mi życie – powiedział żarliwie.

Odwrócił się do Illepry.

– Obie mnie uratowałyście – dodał. – Nie wiem jak kiedykolwiek się wam odwdzięczę.

Kiedy spoglądał na Illeprę, Gwen coś zauważyła – coś w jego spojrzeniu, coś o wiele więcej niż wdzięczność. Odwróciła się i spojrzała na Illeprę. Zauważyła, że kobieta się zaczerwieniła i spuściła wzrok – i uświadomiła sobie, że ci dwoje spodobałi się sobie nawzajem.

Illepra odwróciła się na pięcie i przeszła w inny kąt izby. Zaczęła przygotowywać jakąś miksturę odwrócona do nich plecami.

Godfrey odwrócił się do Gwen.

– To Gareth? – spytał nagle poważniejąc.

Gwen skinęła głową, rozumiejąc, o co ją pytał.

– Masz szczęście, że żyjesz – powiedziała. – W przeciwieństwie do Firtha.

– Firtha? – spytał ze zdziwieniem Godfrey. – Nie żyje? Ale jak?

– Powiesił go na szubienicy – powiedziała. – Ty miałeś być następny.

– A ty? – spytał Godfrey.

Gwen wzruszyła ramionami.

– Planuje wydać mnie za męża. Sprzedał mnie Nevarunom. Ponoć już są w drodze, by mnie stąd zabrać.

Godfrey usiadł z oburzenia.

– Nigdy na to nie pozwolę! – krzyknął.

– Ani ja – odparła. – Znajdę jakiś sposób.

– Jednak bez Firtha nie mamy dowodów. Nie obalimy Garetha w żaden sposób. Będzie wolny.

– Znajdziemy sposób – odparła. – Znajdziemy...

Nagle izba wypełniła się światłem – Akorth i Fulton wmaszerowali do środka.

– Moja pani – zaczął Akorth, kiedy nagle dostrzegł Godfreya.

– Skurczybyku jeden! – wykrzyknął z radością. – Wiedziałem! Wszystko w życiu oszukałeś – wiedziałem, że ze śmiercią będzie tak samo!

– A ja wiedziałem, że żaden kufel do grobu cię nie wpędzi! – dodał Fulton.

Podbiegli do Godfreya i kiedy ten wyskoczył z łoża, wpadli sobie w objęcia.

Wtem Akorth odwrócił się do Gwen i popatrzył na nią z powagą.

– Moja pani. Przepraszam, że nachodzę, lecz dostrzegliśmy oddział żołnierzy na horyzoncie. Jadą tu w pełnym galopie.

Gwen spojrzała na niego z niepokojem, po czym wybiegła na zewnątrz, nachyliwszy się w drzwiach, i zwięźła wzrok przed mocnym słonecznym światłem. Pozostali poszli w jej ślady.

Stanęli w jednej grupie przed chatą. Gwen spojrzała na horyzont i zobaczyła niewielki oddział Srebrnej Gwardii, który jechał w ich kierunku. Pół tuzina ludzi szarżowało z największą prędkością, bez wątpienia podążając co tchu w ich kierunku.

Godfrey sięgnął po miecz, jednak Gwen uspokoiła go, kładąc mu dłoń na ręce.

– To nie są ludzie Garetha – to od Kendricka. Jestem pewna, że przybywają w pokoju.

Jeźdźcy dotarli do nich, zeskoczyli z siodła, nie tracąc ani chwili, i uklękli przed Gwen.

– Pani – powiedział jadący na czele żołnierz. – Przynosimy wspaniałe wieści. Odparliśmy McCloudów! Twój brat Kendrick jest bezpieczny i kazał przekazać mi wiadomość: Thor ma się dobrze.

Na te słowa Gwen wybuchnęła płaczem. Przepełniły ją wdzięczność i poczucie ulgi. Podeszła do Godfrey'a i uściśkała go. Godfrey odwzajemnił jej uścisk, a ona poczuła, jakby życie na nowo wstąpiło w jej ciało.

– Dziś wszyscy wrócą – ciągnął dalej posłaniec – i na królewskim dworze odbędzie się wielka uczta!

– Doprawdy, wspaniałe to wieści – krzyknęła Gwen.

– Moja pani – usłyszała czyjś inny, głęboki głos. Podniosła wzrok i zobaczyła Sroga, wstawionego w boju możnowładcę, odzianego w czerwienie typowe dla zachodnich prowincji, mężczyznę, którego znała od dzieciństwa. Wojownik przyjaźnił się blisko z jej ojcem. Uklęknął przed nią, wprowadzając ją w zakłopotanie.

– Proszę, panie – powiedziała – nie klękaj przede mną.

Był sławnym mężczyzną, wpływowym możnowładcą, który dysponował tysiącami oddanych żołnierzy, który rządził Silesią, swoim własnym miastem, twierdzą zachodnich ziem zbudowanym na klifie, na samej krawędzi kanionu. Była praktycznie nie do zdobycia, a on był jednym z niewielu, którym jej ojciec ufał.

– Przybyłem tu z tymi oto ludźmi, gdyż dotarły do mnie wieści, iż na królewskim dworze zaszły wielkie zmiany – powiedział z rozmysłem. – Tron utracił stabilność. Nowy władca – zdecydowany i z prawdziwego zdarzenia – musi zasiąść na jego miejscu. Słyszałem zaś, że pragnieniem twego ojca było, abyś to ty nim została. Twój ojciec był mi jak brat, a jego słowo jest dla mnie wiążące. Jeśli takie miał życzenie, takie jest i moje. Przybyłem oświadczyć ci, iż jeśli obejmiesz władzę, moi ludzie złożą przed tobą przysięgę wierności. Zalecałbym, abyś szybko podjęła jakieś działanie. Dzisiejsze wydarzenia udowadniają, że w Królewskim Grodzie potrzebny jest nowy władca.

Gwen stała, zaskoczona, nie mając pojęcia, co odpowiedzieć. Czuła pokorę i dumę, ale też była poruszona do głębi. Czuła, że to wszystko ją przerasta.

– Dziękuję ci, panie – powiedziała. – Jestem wdzięczna za twe słowa i za propozycję. Głęboko je przemyślę. Teraz jednak chciałabym powitać w domu mego brata – oraz Thora.

Srog pokłonił się jej, a kiedy na horyzoncie rozległ się dźwięk rogu, Gwen spojrzała tam i dostrzegła, jak z chmury kurzu wyłania się wielka armia. Podniosła dłoń do oczu, by osłonić je przed słonecznym blaskiem i jej serce natychmiast szybciej zabiło. Nawet z tej odległości poznała, kim są ci ludzie. To Srebrna Gwardia, ludzie króla.

A na ich czele jechał Thor.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Thor wracał z całą armią, tysiącami żołnierzy maszerującymi zgodnie jak na komendę w kierunku Królewskiego Grodu. Czuł się wspaniale. Nadal nie mógł w pełni zrozumieć, co się stało. Był dumny z tego, czego dokonał: kiedy bitwa wydawała się już przegrana, nie poddał się strachowi i przeciwstawił się wrogowi. Był w szoku, że udało mu się przeżyć.

Cała bitwa jawiła mu się nierzeczywistą. Był dumny, że udało mu się wezwać swe moce – a jednocześnie miał mętlik w głowie, gdyż nie zawsze mógł na nie liczyć. Nie rozumiał ich, a co gorsza, nie wiedział skąd się brały i jak nad nimi zapanować. Dzięki temu uświadomił sobie, że musiał nauczyć się polegać również na swych ludzkich umiejętnościach – musiał stać się najlepszym wojownikiem, najlepszym żołnierzem, jakim tylko mógł. Zaczynał zdawać sobie sprawę, że aby nim zostać, potrzebował obu stron swojej natury – wojownika i czarnoksiężnika – skoro był nimi oboma naraz.

Jechali całą noc, by dotrzeć jak najszybciej do królewskiego dworu. Thor czuł się zmęczony, wyczerpany ponad granice wytrzymałości, ale też zadowolony. Pierwsze słońce wylaniało się właśnie zza horyzontu, zabarwiając bezkresne niebo odcieniami żółci i różu, sprawiając, że Thor miał wrażenie, iż widzi wszystko po raz pierwszy w życiu. Nigdy dotąd nie czuł się tak ożywiony. Otaczali go przyjaciele: Reece, O'Connor, Elden i bliźniacy. Jechał razem z Kendrickiem, Kolkiem, Bromem, setkami członków legionu, Gwardii i królewskimi żołnierzami. Zamiast jednak jechać gdzieś na uboczu, był w samym środku, otoczony nimi ze wszystkich stron. I rzeczywiście. Od czasu bitwy wszyscy spoglądali na niego inaczej. Widział podziw w ich oczach, zarówno legionistów, jak i pełnokrwistych wojowników. Stał naprzeciw armii McClouda i odwrócił losy tej wojny.

Thor czuł jedynie radość, że nie zawiódł żadnego ze swych braci legionistów. Był szczęśliwy, że wyszli z tego prawie bez szwanku, ale też czuł wyrzuty sumienia z powodu tych, którzy polegli w walce. Nie znał ich, ale żałował, że i ich nie ocalił. Stoczyli krwawą i zażartą bitwę i nawet teraz, za każdym razem, kiedy mrugnął oczyma, widział przed sobą walczących ludzi, różnorodną broń, którą przeciwko niemu użyli. McCloudowie byli zaciekleym klanem, a on miał szczęście; kto wie, czy miałby go tyle przy następnym spotkaniu. Kto wiedział, czy udałoby mu się ponownie użyć mocy. Nie wiedział, czy w ogóle wróciliby do domu. Chciał poznać odpowiedzi. I chciał odnaleźć matkę. Chciał wiedzieć, kim naprawdę jest. Musiał odszukać Argona.

Usłyszał pisk Krohna za sobą i nachylił się, by go pogłaskać, a kot polizał jego dłoń. Czuł wielką ulgę na myśl, że i Krohn wyszedł z bitwy cało. Zniósł go z pola i zawiesił na koniu za swoim siodłem. Wydawało się, że kot był w stanie iść o własnych siłach, jednak Thor chciał, by Krohn odpoczął przed długą, powrotną drogą do domu. Cios, który posłał go w powietrze, był potężny i Thor podejrzewał, że kot ma połamane kości. Nie potrafił wyrazić wdzięczności wobec Krohna, który był mu raczej bratem, niż zwierzęciem, a który uratował jego skórę już nie raz.

Kiedy weszli na wzniesienie i ujrzeli przed sobą panoramę królestwa, w oczy rzuciło im się rozległe, wspaniałe miasto – Królewski Gród, pełne wież i strzelistych iglic, jego stare, kamienne mury i masywny, zwodzony most, bramy w kształcie łuku, setki żołnierzy stojących na warcie na gzymsach i drodze, otoczone przepastnymi polami oraz oczywiście zamek królewski pośrodku tego wszystkiego. Thor pomyślał od razu o Gwen. Dzięki niej przetrzymał bitwę. Dała mu powód i cel życia. Wiedząc, że został zwabiony w pułapkę, że ktoś urządził zasadzkę, poczuł nagle niepokój o jej życie. Miał nadzieję, że tu, na zamku, była bezpieczna, że jakiegokolwiek siły uwzięły się na niego, ją pozostawiły nietkniętą.

Usłyszał odległy śmiech i dostrzegł coś migocącego w świetle. Zmrużył oczy i uświadomił sobie, że na horyzoncie zbierały się właśnie wielkie tłumy mieszkańców Królewskiego Grodu. Wylegali na ulice i wymachiwali flagami. Gromadzili się tłumnie, by ich powitać.

Ktoś zadał w róg i Thor zdał sobie sprawę, że właśnie zostali powitani w domu. Pierwszy raz w życiu nie czuł się tu obcy.

– To na twoją cześć – powiedział jadący obok Reece i poklepał Thora po plecach. Z jego spojrzenia wycierał szacunek. – Jesteś herosem tej bitwy. Jesteś teraz bohaterem tych wszystkich ludzi.

– Wyobraźcie sobie – jeden z nas, zwykły legionista, a zawrócił całą armię McClouda – dodał z dumą O'Connor.

– Zaiste – przysparzasz honoru całemu legionowi – powiedział Eden. – Teraz będą musieli nas wszystkich potraktować znacznie poważniej.

– Nie wspominając o tym, że ocaliłeś życie nam wszystkim – dodał Conval.

Thor wzruszył ramionami. Przepełniała go duma, ale jednocześnie nie pozwalała, by uderzyło mu to do głowy. Wiedział, że jest człowiekiem, słabym i podatnym na różne niebezpieczeństwa, podobnie jak oni wszyscy. Wiedział również, że losy bitwy mogły potoczyć się zupełnie inaczej.

– Zrobiłem tylko to, do czego mnie przygotowali – odparł Thor. – To, czego nauczono nas wszystkich. Nie jestem lepszy od was. Tego dnia miałem akurat szczęście.

– Powiedziałbym, że znacznie więcej niż szczęście – powiedział Reece.

Jechali dalej spokojnym kłusem po głównym trakcie prowadzącym do Królewskiego Grodu. Zewsząd pojawiało się coraz więcej ludzi. Wiwatowali i wymachiwali chorągwiami w królewskich niebiesko-żółtych barwach MacGilów. Thor zauważył, że powitanie przeradzało się z wolna w uroczystą paradę. Cały dwór wyległ przed zamek, by uczcić ich powrót. Widział ulgę i radość na ich twarzach. Rozumiał, skąd się brały: gdyby armia McClouda podeszła jeszcze bliżej, wszystko to mogłoby lec w gruzy.

Otoczony ze wszystkich stron gęstym tłumem ludzi, przejechał wraz z innymi po drewnianym moście. Odgłos końskich kopyt zadudnił głośno. Minęli strzelistą, kamienną bramę, przejazd i wyjechali po drugiej stronie – gdzie powitały ich wiwatujące masy ludzi. Wymachiwali flagami i rzucali słodkości. Do witających przyłączyła się też muzykalna trupa i rozległy się dźwięki krotali i bębnow. Ludzie zaczęli tańczyć na ulicach.

Thor, podobnie jak inni, zsiadł z konia. Zrobiło się zbyt ciasno na jazdę konną. Zdjął ze swego rumaka Krohna i postawił na ziemi. Kot najpierw trochę kulał, lecz wkrótce potruczał zwykłym chodem. Wyglądało na to, że wszystko było z nim w porządku. Thor poczuł ulgę, a Krohn polizał kilkakrotnie jego dłoń.

Przeszli królewskim placem. Ludzie, których Thor nie znał zupełnie, ściskali go i tulili się do niego z każdej strony.

– Ocaliłeś nas! – krzyknął jakiś staruszek. – Oswobodziłeś nasze królestwo!

Thor chciał coś mu odpowiedzieć, lecz jego głos utonął w zgiełku setek ludzi wiwatujących i krzyczących wszędzie wkoło oraz coraz głośniejszej muzyki. Wkrótce wytoczono beczki z piwem. Ludzie zaczęli pić, śpiewać i cieszyć się na głos.

Thor myślał jednak tylko o jednym: Gwendolyn. Musiał ją zobaczyć. Zlustrował wszystkie twarze, rozpaczliwie pragnąc ujrzeć choćby jej mgnienie. Był pewien, że jest tu – jednak nigdzie jej nie dostrzegł. Był zdruzgotany.

Wówczas poczuł czyjaś dłoń na ramieniu.

– Widzę, że kobieta, której szukasz, jest tam – powiedział Reece i odwrócił Thora, wskazując przeciwny kierunek.

Thor odwrócił się i jego oczy rozbłyły. Szła szybkim krokiem do niego, z radosnym uśmiechem i wyrazem ulgi na twarzy, wyglądając, jakby nie spała całą noc. Gwendolyn.

Wyglądała pięknie, jak nigdy dotąd. Podbiegła, rzuciła mu się w ramiona i uściśnęła go. On przytulił ją mocno i obrócił się z nią dokoła w rozweselonym tłumie. Przywarła do niego i nie chciała puścić. Thor czuł jej łzy płynące po jego szyi. Czuł jej miłość i ją odwzajemniał.

– Dzięki Bogu, żyjesz – powiedziała uradowana.

– Myślałem tylko o tobie – odparł, wciąż trzymając ją mocno. Dotyk jej ciała sprawiał, że wszystko znów było tak, jak powinno.

Puścił ją powoli. Wpatrywała się w niego, aż w końcu oparli się o siebie i pocałowali. I trwali w tym pocałunku przez długą chwilę, otoczeni przez kłębiące się masy ludzi.

– Gwendolyn! – krzyknął zachwycony Reece.

Odwróciła się i uściskała go. Wówczas pojawił się Godfrey i uściskał najpierw Thora, potem Reece’a. Jedno wielkie rodzinne spotkanie. Thor czuł się jego częścią, jakby oni wszyscy byli jego rodziną. Ich wszystkich łączyła miłość do MacGila – i nienawiść do Garetha.

Krohn podbiegł i otarł się o Gwendolyn, która przysunęła się ze śmiechem i wtuliła w niego, a Krohn polizał jej twarz.

– Z każdym dniem robisz się większy! – wykrzyknęła. – Jak mam ci dziękować za pilnowanie Thora?

Krohn znowu zaczął łąsić się do niej, aż w końcu pogłaskała go, śmiejąc się cały czas.

– Chodźmy stąd – powiedziała Gwen do Thora pośród cisnących się zewsząd ludzi i chwyciła jego dłoń.

Thor przytrzymał jej dłoń i miał już iść za nią – kiedy nagle podeszło od tyłu kilku wojowników Srebrnej Gwardii i uniosło go w górę, wysoko i posadziło na swych barkach. Kiedy tam zasiadł, tłum wydał z siebie okrzyk.

– THORGRIN! – wiwatował.

Thor wirował w powietrzu raz w tę, raz w drugą stronę. W pewnej chwili ktoś wcisnął mu do ręki kufel piwa. Przechylił go i wypił, a tłum zawył z radości.

Wylądował twardo na nogach, potknął się, zaśmiał i dał uściskać witającym go ludziom.

– Idziemy na ucztę na cześć zwycięzcy – powiedział nieznany mu wojownik, członek Srebrnej Gwardii, i poklepał go po plecach muskularną ręką. – Uczta tylko dla wojowników. Prawdziwych mężczyzn. Dołącz do nas. Jest tam miejsce zarezerwowane dla ciebie przy stole. I dla ciebie, i dla was – powiedział zwróciwszy się do Reece’a, O’Connora i pozostałych przyjaciół Thora. – Jesteście teraz mężczyznami. Dlatego przyłączcie się do nas.

Podniósł się hałas wiwatujących ludzi, a Gwardziści chwycili ich i pociągnęli za sobą. Thor zdołał wyrwać się w ostatniej chwili i odwrócił się do Gwen, czując się winnym i nie chcąc jej zawieść.

– Idź z nimi – powiedziała bezinteresownie. – To ważne. Ucztuj wraz ze swymi braćmi. Świątuj z nimi. To tradycja Srebrnej Gwardii. Nie możesz tego przegapić. A później wieczorem przyjdź pod tylnie drzwi Galerii Broni. Wówczas będziemy mieli czas tylko dla siebie.

Thor nachylił się i pocałował ją jeszcze raz, długo na ile tylko mógł, po czym poddał się szarpiącym go żołnierzom.

– Kocham cię – powiedziała.

– Ja ciebie też – odpowiedział. Nie miała pojęcia, jak szczere było to wyznanie.

Wszystko, o czym w tej chwili myślał, widząc jej śliczne oczy przepełnione miłością do niego, to chęć oświadczenia się jej, sprawienia, by już na zawsze należała do niego. Teraz jednak pora była jeszcze nieodpowiednia. Już wkrótce, powiedział sobie.

Może nawet dziś wieczór.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Gareth stał w swojej komnacie, wyglądając przez okno i obserwował, jak wschodzące nad Królewskim Grodem słońce odsłaniało jego zabudowania, tłumy ludzi zbierające się poniżej – i robiło mu się niedobrze. Na horyzoncie pojawił się właśnie powód jego największej obawy, obraz tego, czego lękał się najbardziej: królewska armia. Wracła zwycięska, triumfująca po starciu z McCloudami. Na jej czele jechali Kendrick i Thor, wolni i żywi – bohaterowie. Jego szpiedzy donieśli mu już o wszystkim, co się tam wydarzyło, że Thor przeżył zasadzkę, że był żywy i cały. Zwycięstwo z pewnością rozzuchwalało żołnierzy. Wracali jako umocniona w jedność drużyna. Wszystkie jego plany legły w gruzach. Poczuł głęboki niepokój. Jakby królestwo zaczęło zaciskać się wokół niego.

Nagle coś w jego komnacie zatrzeszczało. Odwrócił się na pięcie i zamknął oczy, przerażony tym, co zobaczył.

– Otwórz oczy, synu! – usłyszał tubalny głos.

Cały się trzęsąc, otworzył oczy. Struchlał na widok ojca, stojącego w pobliżu rozkładającego się trupa, z zardzewiałą koroną na głowie i zardzewiałym berłem w dłoni. Patrzył na syna z naganą, podobnie jak za życia.

– Krew za krew – oświadczył jego ojciec.

– Nienawidzę cię! – wrzasnął Gareth. – NIENAWIDZĘ CIĘ! – powtarzał. Wyciągnął zza pasa sztylet i rzucił się na ojca.

Kiedy dotarł do niego, wbił sztylet – jednak ostrze przecięło tylko powietrze – a on poleciał, zataczając się, przez komnatę.

Gareth odwrócił się, lecz zjawy już nie było. Był sam. Całkowicie sam. Czy może zaczął tracić zmysły?

Podbiegł w odległy narożnik komnaty i pogrzebał w szafce. Trzęsącymi rękoma wydobyl fajkę do opium, rozpałił ją i zaciągnął się głęboko, raz po raz. Poczuł jak narkotyk rozlewa się falą po całym ciele, jak traci na chwilę orientację pod wpływem narkotyku. Ostatnimi czasy sięgał po opium coraz częściej – wydawało się, że tylko tak może odegnać od siebie wizerunek ojca. Przeżywał męczarnie w tej komnacie. Zastanawiał się, czy duch ojca nie został uwięziony w tych czterech ścianach oraz czy nie powinien przenieść dworu w inne miejsce. Chciał zetrzeć to miejsce na proch – miejsce, które przypominało mu jego całe dzieciństwo, coś, czego tak bardzo nienawidził.

Odwrócił się w stronę okna. Oblał go zimny pot, który stał z czoła wierzchem dłoni. Przyglądał się. Armia zbliżała się z każdą chwilą, a na jej czele, widoczny nawet z tej odległości, jechał Thor. Głupie pospólstwo cisnęło się do niego jak do jakiegoś bohatera. Gareth zrobił się siny z wściekłości. Zaczęła zżerać go zazdrość. Każdy plan, który uknuł i wprowadził w ruch, rozpadał się na kawałki: Kendrick odzyskał wolność; Thor żył; nawet Godfrey w jakiś sposób wykaraskał się z zatrucia – a przecież dawka, którą wypił powaliłaby konia.

Z drugiej jednak strony niektóre jego plany się powiodły: przynajmniej Firth był martwy i nie było już żadnego świadka, by udowodnić, że to Gareth zabił ojca. Wziął głęboki wdech. Z poczuciem ulgi zdał sobie sprawę, że nie było wcale tak źle. Jakby nie patrzeć, konwój Nevarunów był już w drodze po Gwendolyn, by zabrać ją w jakieś odległe miejsce Kręgu i wydać za mąż. Myśl ta sprawiła, że uśmiechnął się do siebie. Od razu poczuł się lepiej. O, tak. Już wkrótce przynajmniej ją będzie miał z głowy.

Miał czas. Znajdzie inny sposób rozprawienia się z Kendrickiem, Thorem i Godfreyem. Przychodziły mu do głowy niezliczone spiski, dzięki którym mógłby ich pozabijać. Miał czas i władzę, największą na całym świecie, aby sprawić, by tak się stało. To prawda, wygrali pierwszą rundę, lecz następnej nie zdołają.

Usłyszał kolejny pomruk. Odwrócił się w mgnieniu oka, ale niczego nie zauważył. Musiał wynieść się stąd – nie mógł już więcej tego znieść.

Odwrocił się i wypadł z komnaty przez otwarte w porę drzwi przez zawsze czujnych na jego każdy ruch służących.

Zarzucił na siebie ojcowską opończę, nałożył koronę i chwycił berło. Szybkim krokiem przemierzał zamkowe korytarze, kierując się do swej osobistej jadalni – izby o wymyślnie wykutych z kamienia ścianach, wysokim, zwieńczonym łukiem stropie i witrażowych oknach – rozświetlonej promieniami porannego słońca. Przy drzwiach oczekiwało dwóch służących. Trzeci stał u szczytu stołu – długiego na pięćdziesiąt stóp, wokół którego w równych rzędach stały krzesła. Kiedy Gareth podszedł bliżej, służący wysunął jego krzesło. Było to stare, dębowe siedzisko, z którego setki razy korzystał ojciec.

Gareth usiadł na nim i zdał sobie sprawę, jak bardzo nienawidził tego pomieszczenia. Pamiętał, jak zmuszano go w dzieciństwie do zasiadania tutaj, pośród wszystkich członków rodziny królewskiej. Pamiętał, jak ojciec i matka ganili go co rusz. Teraz było tu tak pusto. Nikogo oprócz niego nie było – ani braci, ani sióstr, ani rodziców, czy też przyjaciół. Ani żadnego z jego doradców. W ostatnich dniach udało mu się odizolować od wszystkich i teraz jadał w samotności. Nawet wołał, żeby tak zostało – zbyt wiele razy widział tu ducha ojca i miał już dość wstydu, kiedy nagle zobaczywszy go, krzyknął ze strachu przy wszystkich.

Sięgnął łyżką do talerza i wypił odrobinę porannej zupy, po czym wrzucił ją z powrotem do talerza.

– Ta zupa jest już zimna! – wrzasnął.

Zupa nie była zimna, jednak nie wrząca tak, jak lubił. Gareth nie zamierzał tolerować kolejnego błędu swoich sług. Jeden z nich podbiegł właśnie do niego.

– Wybacz, najjaśniejszy panie – powiedział, nisko kłaniając głowę i sięgając po talerz z zamiarem odniesienia go do kuchni. Gareth jednak podniósł talerz i wylał gorącą ciecz prosto na twarz sługi.

Sługa podniósł ręce do swych oczu i wrzasnął poparzony zupą. Wówczas Gareth uniósł talerz wysoko nad głowę sługi i rozbił go o nią.

Sługa wrzasnął ponownie i chwycił się za broczącą krwią głowę.

– Zabierzcie go stąd! – wrzasnął Gareth do pozostałych sług.

Spojrzeli po sobie niepewnie, po czym usłuchali rozkazu, acz z niechęcią.

– Wtrąć go do lochu! – powiedział Gareth.

Usiadł z powrotem na swoim miejscu, drżąc na ciele. W sali nie było nikogo oprócz jednego sługi, który zbliżył się do Garetha ostrożnie.

– Najjaśniejszy panie – powiedział nerwowo.

Gareth podniósł na niego wzrok. Kipiał ze złości. Nagle, za sługą, zobaczył ojca. Siedział wyprostowany kilka krzeseł dalej i uśmiechał się do niego niecznie. Gareth spróbował odwrócić od niego wzrok.

– Przybył możnowładca, którego chciałeś zobaczyć – powiedział sługa. – Pan Kultin z prowincji Essen. Oczekuje przed drzwiami.

Gareth zamrugał kilkakrotnie oczami, próbując zrozumieć, o czym mówi sługa. Pan Kultin. Ach tak, już sobie przypomniał.

– Wpuśćcie go natychmiast – rozkazał Gareth.

Służący uklonił się nisko i wybiegł z sali. Po chwili drzwi otworzyły się i do wnętrza dumnie wkroczył potężny, bezwzględny wojownik. Miał długie, czarne włosy, zimne, czarne oczy i długą, czarną brodę. Ubrany w pełnym rynsztunku, z dwoma, długimi mieczami po obu stronach pasa, opierał dłonie na ich rękojeściach. Jakby gotów był w każdej chwili odeprzeć atak – lub zaatakować. Wyglądał, jakby rozsadzała go wściekłość. Gareth jednak wiedział, że tak nie było – Kultin zawsze nosił się w ten sposób, jeszcze za czasów jego ojca.

Podszedł dumnym krokiem do Garetha, stanął nad nim, a Gareth machnął ręką, wskazując mu miejsce.

- Usiądź – powiedział.
- Wolę stać – uciął szorstko Kultin.

Spojrzał gniewnie na Garetha. Usłyszawszy słowa możnowładcy, siłę jego głosu, Gareth wiedział, że był on inny od pozostałych. Zacięty, spragniony krwi, gotowy zabić wszystkich na miejscu. Był dokładnie takim człowiekiem, jakiego Gareth chciał mieć w pobliżu.

Gareth uśmiechnął się. Po raz pierwszy tego dnia był zadowolony.

- Wiesz, dlaczego ciebie tu wezwałem? – spytał Gareth.
- Mogę tylko zgadywać – odparł lapidarnie Kultin.

– Podjąłem decyzję o twoim awansie – powiedział Gareth. – Będziesz ponad ludźmi króla. A nawet członkami Srebrnej Gwardii. Od tej chwili będziesz moim osobistym strażnikiem. Będziesz należał do królewskiej elity. Ty i twoich pięćset wojowników otrzymacie najlepsze mięsiwa, najwyborniejsze zakwaterowanie i czcigodną Srebrną Salę. Wszystko, co najlepsze.

Kultin potarł brodę.

– A co, jeśli nie mam ochoty ci służyć? – powiedział z nachmurzoną miną, wyzywająco, i zacisnął dłonie na swych mieczach.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.